płomyczek

DWUTYGODNIK DLA DZIECI | 16—30 · VI · 1984 | 12

Fot. Interpress

Dzień dobry z uśmiechem

Rys. G. Miklaszewski

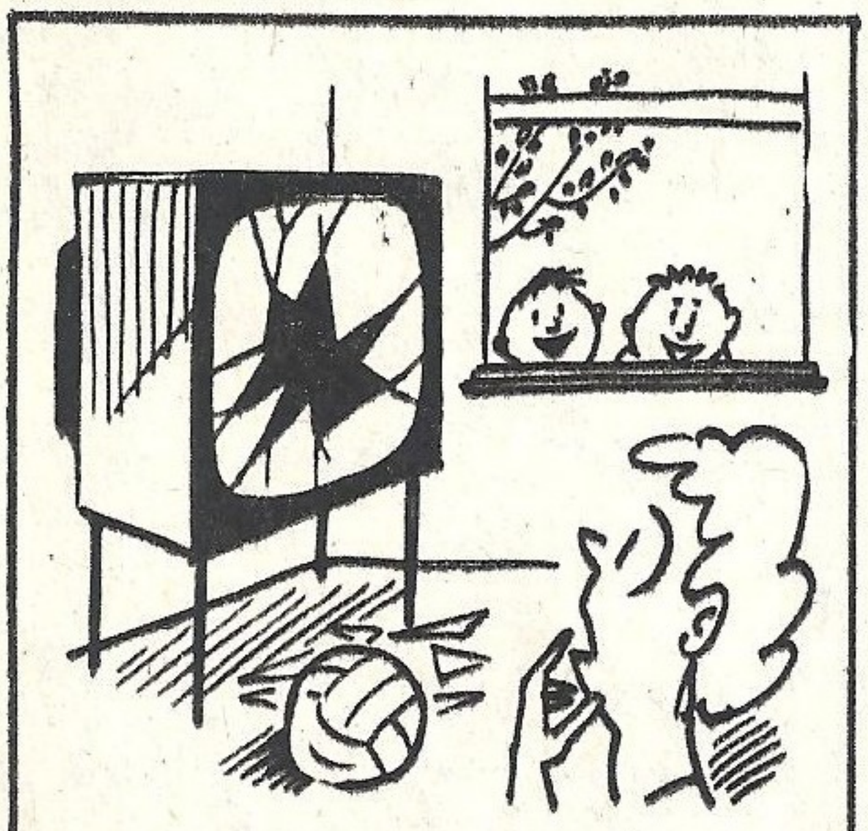

— Ty, mamo, tego strzału Józka też byś nie obroniła!

— Oddaj piłkę, Azorku, oddaj!

— On widocznie nie lubi sportu!

A TO CIEKAWE!

POLSKIE silniki okrętowe, budowane w „Zakładach im. Cegielskiego" w Poznaniu, sprzedawane są również do Grecji. Tam na wyspach Morza Egejskiego: Rodos, Lesbos, Samos, i na Krecie będą wykorzystywane w nietypowej dla nich funkcji. Dostarczą bowiem siły napędowej dla elektrowni.

●

W ZAGŁĘBIU Lubińsko-Głogowskim wydobywa się przede wszystkim miedź, ale w rudzie miedzi występują również inne metale: nikiel, ołów, srebro i złoto. Złota jest niewiele. W 1983 roku otrzymano sto kilkadziesiąt kilogramów tego cennego metalu.

Natomiast srebra uzyskuje się ponad 700 ton rocznie, a ze sprzedaży jego za granicą otrzymujemy więcej dewiz niż za miedź wydobywaną w miedziowym zagłębiu.

●

NAUKOWCY w wyniku wieloletnich badań ustalili, że 1 hektar lasu liściastego zatrzymuje około 70 ton pyłów, podczas, gdy lasy iglaste o połowę mniej. Las liściasty pochłania również wyziewy gazowe, których stężenie po przejściu przez „leśny filtr" zmniejsza się trzykrotnie. Las liściasty tłumi również hałas tym skuteczniej, im rośnie bliżej źródła dźwięków.

BIAŁY niedźwiedź polarny jest zwierzęciem bardzo wytrzymałym na mróz. Naukowcy jednak stwierdzili, że prawdziwą rekordzistką pod tym względem jest kaczka polarna. Ten wodny ptak, umieszczony w specjalnym pojemniku, wytrzymał, bez szkody dla zdrowia, temperaturę —110 stopni Celsjusza. Drugie miejsce zajęła gęś polarna, a po niej foka, dopiero czwarty był biały niedźwiedź polarny.

●

ZĘBY u człowieka, podobnie jak u innych ssaków, tkwią w górnej i dolnej szczęce. U innych zwierząt jest inaczej. Np. szczupak, karp i inne ryby mają zęby w gardzieli, a rak ma zęby... w żołądku.

●

NIEZWYKŁEGO oddodkrycia archeologicznego dokonano w odkrywkowej kopalni węgla brunatnego w Koninie. Znaleziono tam szkielet słonia leśnego. Jak wykazały badania, zwierzę to żyło 130—150 tys. lat przed naszą erą. Szkielet słonia, który, jak się przypuszcza, miał ponad 4 metry wysokości, zostanie zabezpieczony przez konserwatorów w Muzeum Archeologicznym w Warszawie, a potem powróci do Muzeum Okręgowego w Koninie.

NASZA OKŁADKA: Lato ma swój urok, zwłaszcza gdy pogoda dopisuje

NA POLSKIM WYBRZEŻU

ŁEBA

Między morzem a jeziorem
złote wydmy się rozsiadły —
przyjedź tutaj letnią porą,
by pogonić morskie wiatry!

Ile piachu dookoła!
Ile górek, ile wzniesień!
Wszędzie dotrzeć tu nie zdołasz,
chyba, że cię wiatr poniesie!

Tak jak niesie ziarnka piasku,
co wędrują wciąż ku Łebie
i dotarły już do lasku:
sucha gałąź straszy ciebie!

Kiedy w słońcu zmrużysz oczy,
możesz marzyć o wielbłądzie,
co przez łebskie wydmy kroczy,
nim pod smukłą palmą siądziesz.

A tam idzie karawana
plecakami objuczona,
brnie przez piachy po kolana,
lecz kolejny szczyt pokona!

Już jest blisko, już cię minie,
ale otwórz oczy szerzej:
to nie żadni Beduini,
to na szlaku swym harcerze!

GDYNIA

Był tylko piasek i morze,
lecz byli też dzielni ludzie —
przyszli, gdzie wiatr i bezdroże,
nie ustawali w swym trudzie.

Gdzie strzechy rybackiej wioski,
leżącej koło Oksywia,
portowe dźwigi wyrosły,
by całą Polskę zadziwiać.

Wyrosły domy i szkoły,
jasne od słońca i piasku,
syren sygnałem wesołym
witało świat nowe miasto.

Zostawał w nim każdy przybysz,
by już do niego czuć miłość.
W herbie ma miecz i dwie ryby —
tym mieczem morza broniło.

Włodzimierz Scisłowski

Rys. Z. Byczek

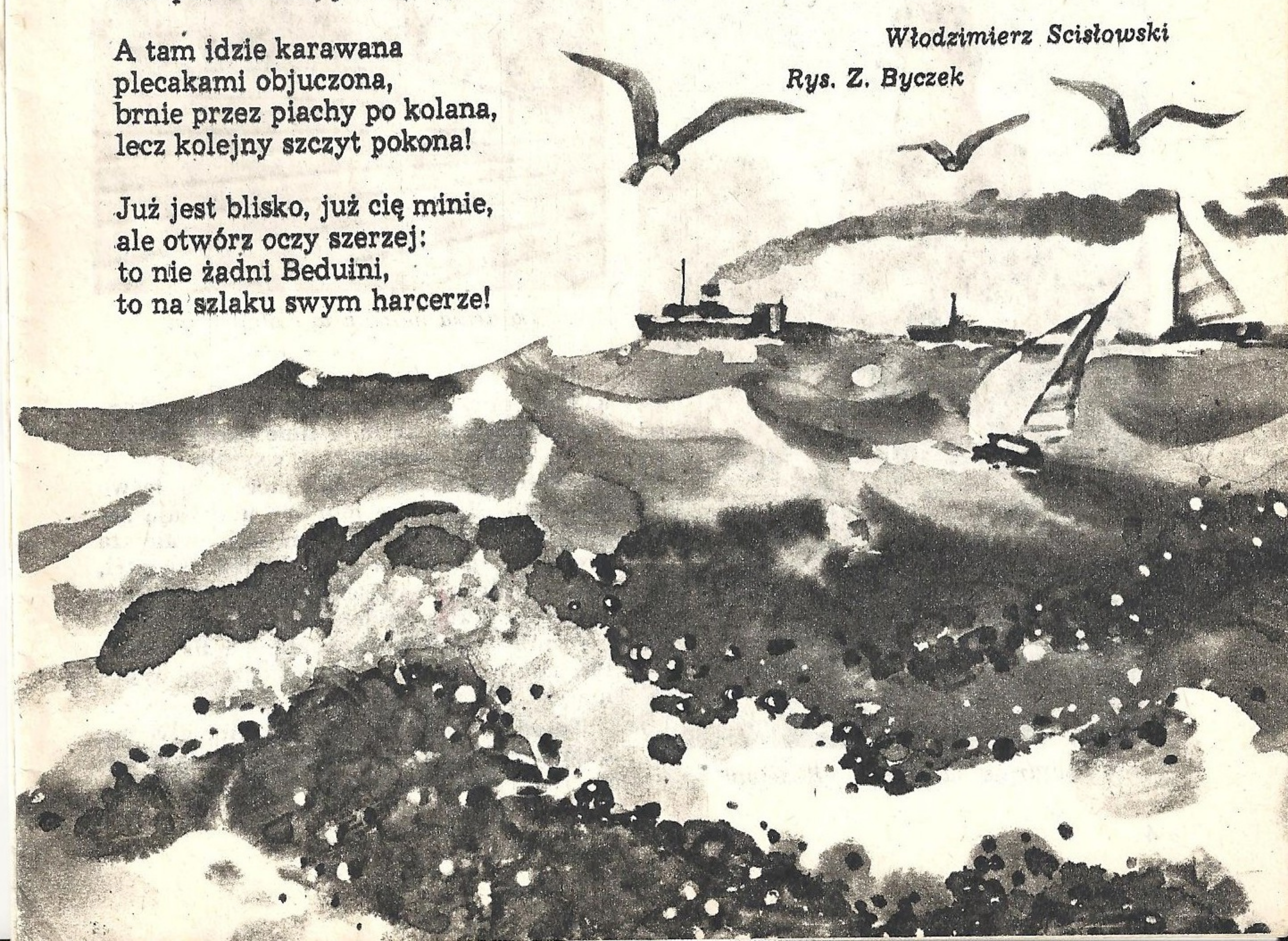

LATARNIE MORSKIE

Wzdłuż naszego wybrzeża wznoszą się wieże latarń morskich, rozsianych od Świnoujścia do Krynicy Morskiej. Wynurzają się z zieleni drzew, by bez przeszkód spoglądać na rozhuśtane fale, a w nocy rzucać smugi jaskrawego światła tym, którzy zdążają do naszych portów. Tak było przed wiekami i tak jest teraz. Dawniej rolę latarni morskich spełniały zwyczajne ogniska rozpalane na szczytach wzniesień w pobliżu brzegu morskiego. Potem rozpalano ognie na kamiennych wieżach wznoszonych na wybrzeżu. Znacznie później jako źródła światła w latarniach zaczęto używać lamp oliwnych, olejnych i naftowych. Obecnie stosuje się oświetlenie elektryczne.

Każda z latarń morskich ma inny kształt, inną wysokość, inaczej jest pomalowana, a w nocy daje inne znaki świetlne — inaczej „mruga". A wszystko po to, by przepływające statki mogły ją łatwo rozpoznać. Latarnie morskie ułatwiają żeglugę i wskazują statkom najpewniejszą drogę do portu: nocą błyskiem świateł, podczas mgły — głosem syren i potężnych buczków. Latarnia jest więc dla marynarzy jakby gwiazdą przewodnią, a dla turystów miejscem, z którego roztacza się wspaniały widok na morze.

Latarnia morska w Rozewiu

Latarnia morska w Kołobrzegu

Tu zajmiemy się szczegółowiej dwiema latarniami. Z nabrzeża portu w Gdyni lub w Gdańsku widać wyraźnie wieczorem

światło latarni morskiej na Helu. Można je łatwo rozpoznać, regularnie zapala się i gaśnie: błysk światła trwa 4 sekundy, potem przerwa 4 sekundy i znowu światło 4 sekundy, przerwa 4 sekundy itd. Sygnały świetlne latarni w Kołobrzegu są bardziej skomplikowane: światło 2 sekundy, przerwa 2 sekundy, światło 8 sekund, przerwa 1 sekunda. A potem od początku — światło 2 sekundy itd. — od zmroku aż do świtu.

Jak już powiedzieliśmy, latarnie różnią się także wysokością. Najniższa z latarń naszego wybrzeża znajduje się w Jastarni (13,4 m wysokości), najwyższa w Świnoujściu (64,8 m). Wszystkie polskie latarnie morskie oświetlane są elektrycznością, ale mają różne urządzenia świetlne i różną siłę światła.

Światło latarni w Rozewiu widoczne jest z odległości 23 mil morskich, z Jastarni zaś z odległości 10 mil. Tutaj trzeba wyjaśnić, że 1 mila morska równa się 1852 m. Sami możecie więc obliczyć, że 23 mile morskie to 42,5 km, a 10 mil morskich to 18,5 km.

Wprawdzie trudno od razu obejrzeć i zwiedzić wszystkie latarnie, ale warto wiedzieć, że na naszym wybrzeżu Bałtyku jest ich dwadzieścia kilka.

ROZMOWA

Tu Rozewie! Halo, tu Rozewie!
Tu Kołobrzeg! Halo, tu Kołobrzeg!
Jak dwie gwiazdy na pogodnym niebie,
dwie latarnie drążą światłem morze.

Statki płyną z południa, z północy,
odpływają na wschód i na zachód.
Świecą lampy dwóch latarni w nocy
jak źrenice dwóch bezsennych ptaków.

Halo, halo, tu Gdańsk, a tu Gdynia!
Halo, halo, tu Hel, a tu Łeba!
My, latarnie — statkom wszystkich lądów
roświetlamy noc polskiego nieba.

Porty nasze otwarte jak serca,
brzegi nasze gościnne, przyjazne.
Gdy ujrzycie nasze światło na niebie,
wiedzcie — dobrą ujrzeliście gwiazdę.

Tu Rozewie! Halo. Tu Rozewie!
Droga wolna do Gdańska i Gdyni.
Ja, latarnia — jak gwiazdy na niebie —
świecę statkom oczami srebrnymi.

Tadeusz Kubiak

Fot. Interpress

Latarnia morska na Helu

ODWAGI!

Podróż pociągiem przeszła bardzo dobrze: trzeba jechać całą noc, żeby dojechać na miejsce. W przedziale nasz drużynowy, który nazywa się Gerard Lestouffe i jest bardzo fajny, powiedział, żebyśmy spali i byli grzeczni, to jutro rano przyjedziemy do obozu wypoczęci. Miał rację. Mówię: nasz drużynowy, bo wytłumaczył nam, że będziemy podzieleni na drużyny po dwunastu plus jeden drużynowy. Drużyna, do której należę, nazywa się „Sokole Oko" i drużynowy powiedział, że naszym zawołaniem jest: „Odwagi!"

Oczywiście, nie mogliśmy dużo spać. Jeden chłopak płakał przez cały czas i mówił, że chce wracać do domu. Wtedy drugi zaczął się śmiać i powiedział mu, że jest baba. Wtedy ten, który płakał, dał mu w ucho i zaczęli płakać obaj, szczególnie kiedy ich drużynowy postraszył, że jak nie przestaną, każe im jechać na stojąco w korytarzu. Potem znów jakiś chłopak wyciągnął z walizki jedzenie, wszystkim od razu zachciało się jeść i zaczęliśmy wsuwać. A jak się gryzie, to nie można spać, szczególnie przy sucharkach, bo trzeszczą i okropnie się kruszą. A potem chłopcy zaczęli chodzić na koniec wagonu, ale jeden długo nie wracał, więc drużynowy po niego poszedł. Okazało się, że się zacięły drzwi i trzeba było wołać konduktora, żeby je otworzył, i wszyscy się denerwowali, bo chłopak siedzący w środku płakał i krzyczał, że się boi, i co to będzie, jak przyjedziemy na jakąś stację, a on przeczytał, że nie wolno tam być w czasie postoju pociągu na stacji.

Potem, kiedy już wyszedł mówiąc, że było bardzo w dechę, drużynowy kazał nam wrócić do przedziału i zrobiła się draka z szukaniem przedziałów, bo chłopaki powychodzili na korytarz i nikt już nie wiedział, gdzie jest jego miejsce, i wszyscy biegali i trzaskali drzwiami. Aż jeden pan wysunął ze swojego przedziału strasznie czerwoną twarz i powiedział, że jak się nie skończą te hałasy, poskarży się w dyrekcji kolei, gdzie jego przyjaciel zajmuje strasznie wysokie stanowisko.

Spaliśmy na zmianę i rano przyjechaliśmy do Piaszczystego Brzegu,

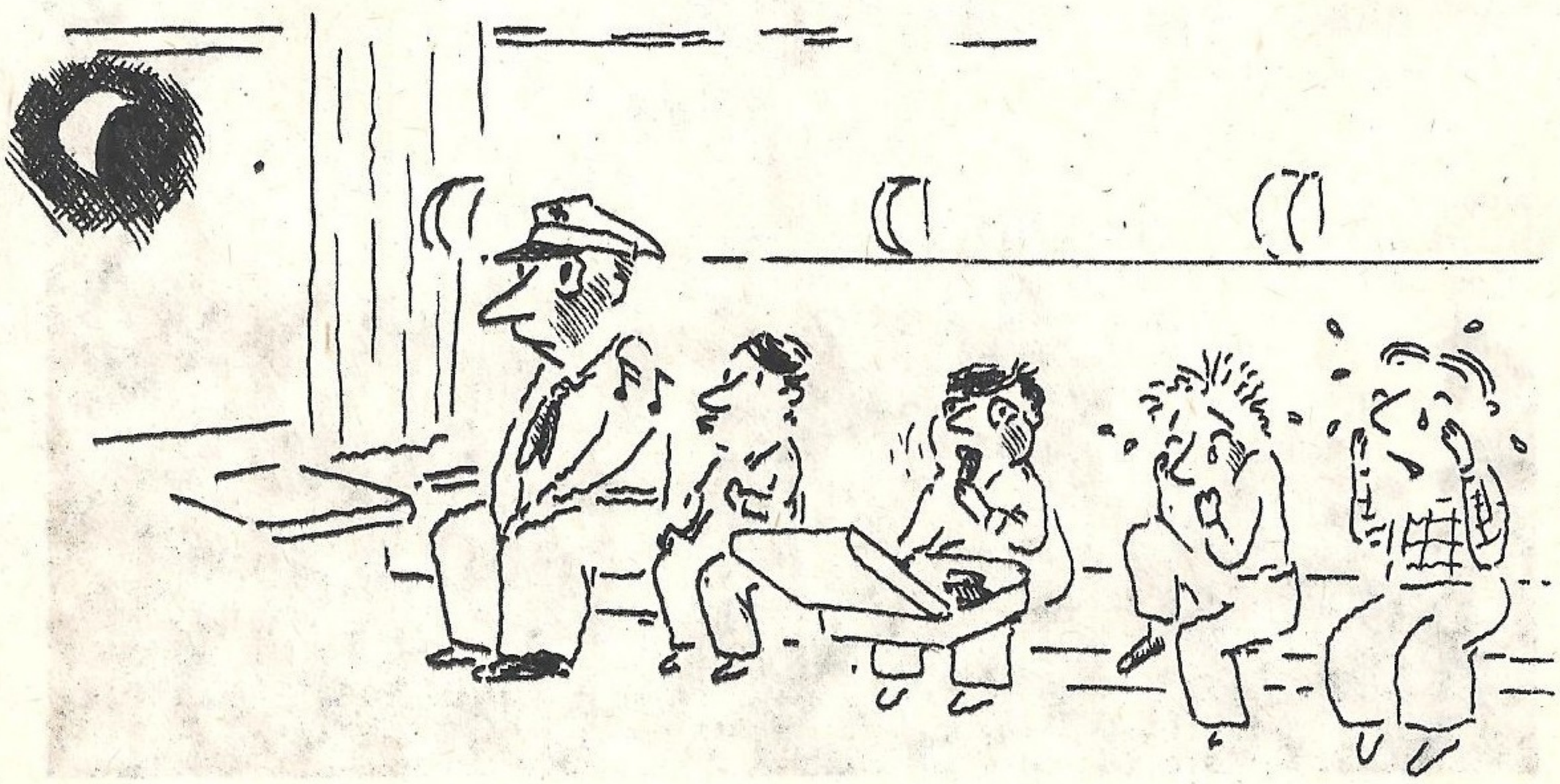

gdzie czekały autokary, które miały nas zawieźć do obozu. Nasz drużynowy jest niesamowity, nawet nie wyglądał na bardzo zmęczonego. A przecież całą noc biegał po korytarzu i trzy razy

Trochę się rozczarowałem. Obóz jest ładny, no pewnie: są drzewa, kwiaty, tylko że nie ma namiotów. Będziemy spali w drewnianych domkach, a szkoda, bo myślałem, że będziemy mieszkać w namiotach jak Indianie — tak byłoby o wiele fajniej. Zaprowadzono nas na środek obozu, gdzie czekało dwóch panów. Jeden bez włosów, drugi w okularach, za to obaj w krótkich spodenkach. Pan bez włosów powiedział:

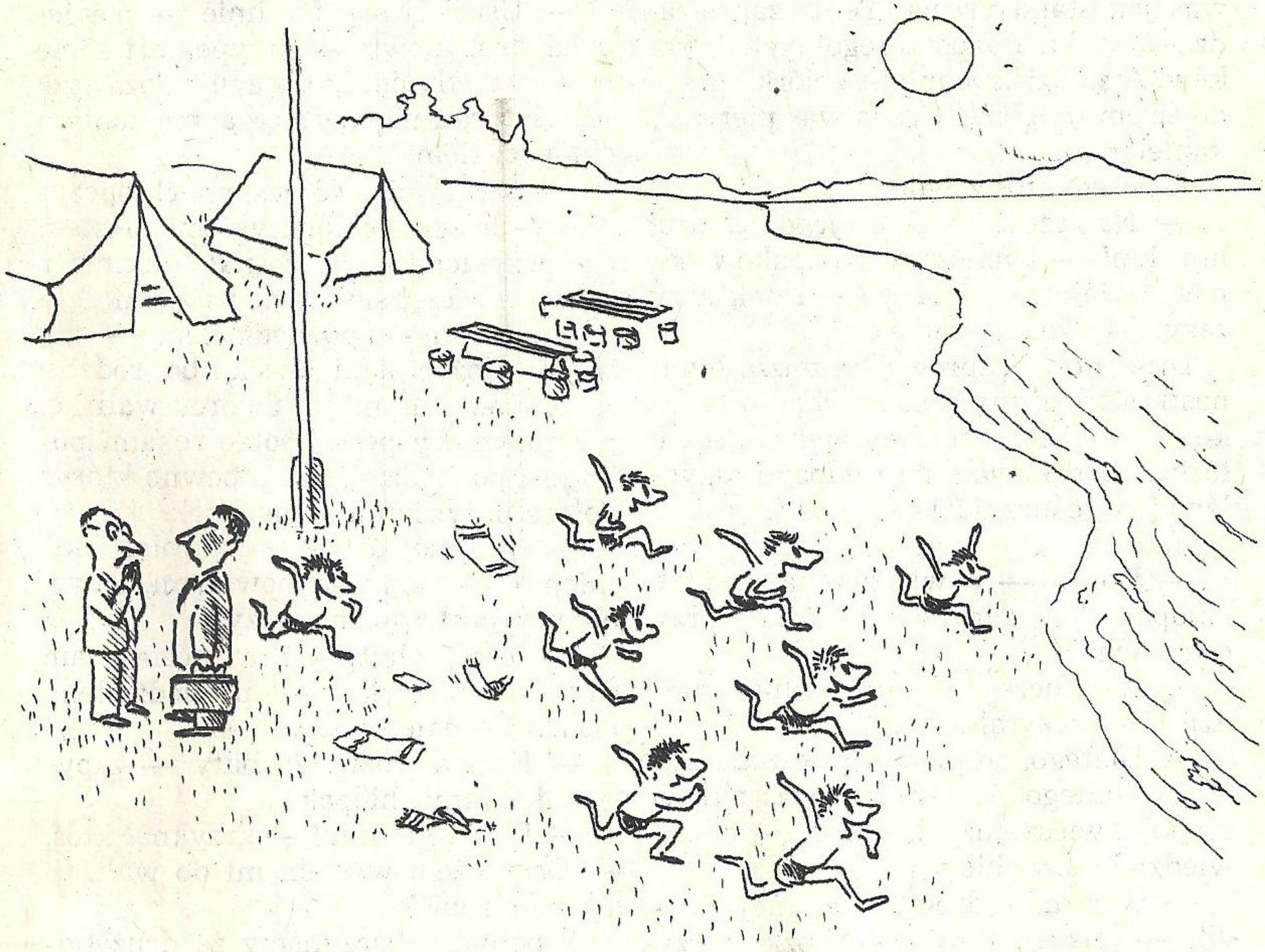

Rys. J. Bohdanowicz

musiał otwierać drzwi na końcu wagonu: dwa razy, żeby wypuścić chłopaków, którzy się zatrzasnęli, a raz, żeby wypuścić pana, który ma przyjaciela w dyrekcji kolei i który dał mu za to swoją wizytówkę.

W autokarze wszyscyśmy krzyczeli i drużynowy powiedział, że zamiast się wydzierać, lepiej byśmy pośpiewali.

I zaczął z nami śpiewać fajne piosenki, jedną o strumyku, a drugą o tym, że dobrze jest wędrować. A potem drużynowy powiedział, że właściwie to woli, żebyśmy krzyczeli, i w końcu przyjechaliśmy do obozu.

— Drogie dzieci, z prawdziwą przyjemnością witam was w Niebieskim Obozie, gdzie — jestem tego pewny — w atmosferze szczerości i koleżeństwa spędzicie wyśmienite wakacje i gdzie w ramach dobrowolnie przyjętej dyscypliny wdrożymy was do obowiązków, jakie czekają na was w przy-

szłości. Ja nazywam się Rateau i jestem kierownikiem obozu, a to jest pan Geonu, nasz intendent, który czasem poprosi was, żebyście pomogli mu w pracy. Liczę na to, że będziecie się słuchać drużynowych, którzy są dla was jak starsi bracia. Teraz zaprowadzą was oni do poszczególnych baraków. A za dziesięć minut zbiórka przed pójściem na plażę. Czeka was pierwsza kąpiel.

A potem ktoś zawołał:

— Na cześć Niebieskiego Obozu, hip, hip! — i mnóstwo chłopaków odpowiedziało: — Hura! — I tak trzy razy. Bardzo śmiesznie.

Drużynowy zaprowadził naszą dwunastkę z drużyny Sokole Oko do baraku. Powiedział, żebyśmy wybrali sobie łóżka, rozpakowali się i włożyli kąpielówki, i że przyjdzie po nas za osiem minut.

— Dobra — powiedział jakiś duży chłopak — zamawiam łóżko przy drzwiach.

— A dlaczego, jeśli wolno wiedzieć? — zapytał inny.

— Dlatego, że pierwszy je zobaczyłem, i dlatego, że jestem z was najsilniejszy, wiesz już, dlaczego — odpowiedział duży chłopak.

— Nie, mój drogi! Nie, mój drogi! — pisnął inny. — Łóżko przy drzwiach jest moje! Już na nim siedzę!

— Ja też na nim siedzę! — zawołało dwóch następnych.

— Złaźcie stąd, bo się poskarżę — krzyknął ten duży.

Siedzieliśmy w ośmiu na łóżku i już mieliśmy zacząć się bić, kiedy wszedł drużynowy. Ubrany był w spodenki kąpielowe i wszędzie miał pełno muskułów.

— No? — zapytał. — Co to ma znaczyć? Jeszczeście się nie przebrali? Robicie więcej hałasu niż wszystkie inne baraki razem wzięte. Pospieszcie się!

— To przez moje łóżko... — zaczął tłumaczyć ten duży.

— Łóżkiem zajmiemy się później — powiedział drużynowy — teraz wciągajcie kąpielówki. Wszyscy czekają na nas ze zbiórką!

— Ja się nie będę rozbierać przy wszystkich! Ja chcę do domu! — zawołał jakiś chłopak i zaczął płakać.

— Uspokój się, Paulinie — powiedział drużynowy — przypomnij sobie nasze zawołanie: „Odwagi!" Poza tym jesteś teraz mężczyzną, a nie małym chłopczykiem.

— A właśnie, że jestem chłopczykiem! Jestem chłopczykiem! Jestem chłopczykiem! — wrzasnął Paulin i z płaczem zaczął się tarzać po ziemi.

— Druhu — powiedziałem — nie mogę włożyć kąpielówek, bo rodzice zapomnieli dać mi na dworcu walizkę.

Drużynowy potarł sobie rękami policzki i powiedział, że na pewno któryś kolega pożyczy mi kąpielówek.

— Nie, mój drogi! — zawołał jakiś chłopak. — Mamusia mówiła mi, żebym nie pożyczał swoich rzeczy.

— Jesteś chytrus i w nosie mam twoje kąpielówki! — powiedziałem. I buch! — dałem mu w nos.

— Kto mi rozwiąże buty — zapytał jakiś inny chłopak.

— Druhu! Druhu! — krzyknął ktoś. — Cały dżem wyciekł mi do walizki. Co mam robić?

A potem zobaczyliśmy że drużynowego nie ma już w baraku.

Kiedy wyszliśmy na dwór, wszyscy byliśmy w kąpielówkach. Jeden fajny chłopak, który nazywa się Benon, pożyczył mi swoje. Przyszliśmy na zbiórkę ostatni. Było bardzo śmiesznie, bo wszyscy mieli na sobie kąpielówki.

Tylko nasz drużynowy nie był w kąpielówkach. Ubrany był w garnitur i krawat, a w ręku trzymał walizkę. Pan Rateau, który akurat z nim rozmawiał, mówił:

— Może jednak zmienisz postanowienie, mój chłopcze? Jestem pewien, że uda ci się wziąć ich w garść. Odwagi!

Sampé i Gościnny

dechu, słychać było, jak potrzaskują świece i huczy wicher za oknami.

A kiedy Hek skończył śpiewać, podniósł się hałas i krzyki, dorośli złapali Heka na ręce i zaczęli go podrzucać. Ale matka od razu zabrała im Heka w obawie, że mogą go w zapale podrzucić za wysoko i że uderzy głową o drewniany sufit.

— Teraz siadajcie — powiedział ojciec, spoglądając na zegarek. — Za chwilę zacznie się najważniejsze.

Podszedł do stołu i włączył radio. Wszyscy usiedli i zamilkli.

Najpierw było cicho. Ale oto rozległ się hałas, gwizdy, trzeszczenie. Potem coś huknęło, syknęło i skądś z daleka doleciało melodyjne dzwonienie.

Małe i duże dzwony śpiewały:

Tirli — tirli — don!
Tirli — tirli — don!

Czuk i Hek spojrzeli po sobie. Odgadli od razu, co to było. To w dalekiej Moskwie, pod czerwoną gwiazdą na Wieży Spasskiej, dzwonił złoty zegar kremlowski.

I głosu tego zegara w godzinie przyjścia Nowego Roku słuchali ludzie w miastach, w górach, w stepach, w tajdze i na dalekim morzu.

Słyszał go także zamyślony dowódca pociągu pancernego, który bezustannie oczekiwał rozkazu od Woroszyłowa, aby otworzyć ogień do nieprzyjaciela.

Wtedy wszyscy wstali i zaczęli życzyć sobie nawzajem szczęścia z okazji Nowego Roku.

I chociaż szczęście to każdy pojmował inaczej, wszyscy razem wiedzieli i rozumieli, że trzeba żyć uczciwie, dobrze pracować i mocno kochać i strzec tej wielkiej pięknej ziemi, która zwie się Krajem Rad.

(KONIEC)

NASZE LEKTURY

WYJMIJCIE Z „PŁOMYCZKA" 8 KARTEK I ZŁÓŻCIE JE WZDŁUŻ ZAZNACZONEJ LINII

ARKADY GAJDAR

CZUK i HEK

Rys. Z. BYCZEK

W lesie, w pobliżu Błękitnych Gór, żył sobie pewien człowiek. Pracował wiele, ale pracy nie ubywało, toteż nie mógł wybrać się do domu na urlop.

Wreszcie z nadejściem zimy zupełnie go zmogła tęsknota. Poprosił więc swoje władze o zgodę i napisał list do żony, aby razem z dziećmi przyjechała do niego z wizytą.

Dzieci miał dwoje — Czuka i Heka.

Mieszkały wraz z matką w dalekim, wielkim mieście, najpiękniejszym na świecie.

Nad wieżami tego miasta dniem i nocą płonęły czerwone gwiazdy.

Miasto to, oczywiście, nazywało się Moskwa.

W chwili gdy listonosz z listem wchodził po schodach, Czuk i Hek właśnie prowadzili ze sobą wojnę. Ściślej mówiąc, po prostu wrzeszczeli i tłukli się, ile wlezie.

O co im poszło, już nie pamiętam. Być może Czuk ściągnął Hekowi puste pudełko od zapałek lub też na odwrót, Hek zabrał Czukowi puste pudełeczko po paście do butów.

Właśnie przed chwilą bracia, obdarzywszy się solidną porcją szturchańców, zamierzali powtórzyć tę czynność od początku, kiedy rozległ się dzwonek. Chłopcy z niepokojem spojrzeli po sobie. Pomyśleli, że to idzie mama. A mama miała dziwny charakter. Nigdy nie krzyczała na nich za bijatyki ani nie stawiała do kąta, tylko po prostu odsyłała urwisów do różnych pokoi i przez godzinę albo i dłużej nie pozwalała im się bawić razem. A w jednej godzinie mieści się — tik, tak, tik, tak — sześćdziesiąt minut. A w dwóch godzinach jeszcze więcej.

Dlatego też bracia prędko otarli łzy i pobiegli do drzwi.

Jak się jednak okazało, nie była to mama, lecz listonosz z listem.

Chłopcy zawołali:

— To list od taty! Tak, tak, na pewno od taty! Tata niedługo przyjedzie!

I z radości zaczęli skakać, biegać, fikać kozły na kanapie. Bo chociaż Moskwa jest najpiękniejszym miastem na świecie, to jednak gdy taty od roku nie ma w domu, nawet Moskwa może obrzydnąć.

Tak się rozbrykali, że nie zauważyli jak weszła mama.

śmiesznie mali, chociaż bez trudu można było rozróżnić ich ręce, nogi i głowy.

Przemknęli po nagim zboczu i znikli w lesie.

Dokładnie po półgodzinie dało się słyszeć szczekanie psów, hałas, skrzypienie śniegu, nawoływania.

Głodne psy, zwietrzywszy dom, lotem strzały pomknęły mu naprzeciw. Śladem, nie odstępując ich o krok, wyjechało spomiędzy drzew dziewięciu narciarzy.

Ujrzawszy na ganku matkę, Czuka i Heka, narciarze podnieśli w pędzie kije i głośno zakrzyknęli „Hurra!"

A wtedy Hek nie wytrzymał, zeskoczył z ganku i brnąc po kolana w śniegu, ruszył na spotkanie wysokiemu, brodatemu mężczyźnie, który jechał na przodzie i najgłośniej ze wszystkich krzyczał „Hurra!"

Przez cały dzień geolodzy myli się, golili, czyścili ubrania.

Wieczorem zaś czekała ich choinka i wszyscy razem witali Nowy Rok.

Kiedy już stół był nakryty, zgaszono lampę i zapalono świece. A że prócz Czuka i Heka wszyscy byli dorośli, więc chłopcy nie bardzo wiedzieli, co teraz robić.

Na szczęście jeden z geologów miał akordeon i zagrał coś wesołego do tańca. Wtedy wszyscy, jeden przez drugiego, zaczęli się zrywać od stołu i wszystkim zachciało się tańczyć. A tańczyli naprawdę bardzo ładnie, zwłaszcza gdy zapraszali do tańca mamę.

Tylko ojciec nie umiał tańczyć. Był bardzo silny i dobroduszny i kiedy nawet zwyczajnie chodził po pokoju, w szafie dzwoniły wszystkie naczynia.

Posadził więc sobie Czuka i Heka na kolanach i razem głośno klaskali do taktu.

Potem taniec się skończył i wszyscy poprosili, żeby Hek coś zaśpiewał.

Hek ani myślał się wykręcać. Dobrze wiedział, że umie ładnie śpiewać, i był z tego dumny.

Akordeonista przygrywał, a Hek śpiewał zebranym piosenkę. Nie pamiętam już, co to była za piosenka. Wiem tylko, że była bardzo ładna, bo wszyscy, słuchając jej spoważnieli i przycichli. Gdy Hek przerywał, żeby zaczerpnąć od-

Cztery dni w natłoku pracy minęły niepostrzeżenie. Wreszcie nadszedł Sylwester. Już od rana Czuka i Heka nie można było zapędzić do domu. Z sinymi nosami wyczekiwali na mrozie, kiedy zza lasu ukaże się ojciec i cała jego grupa. Ale stróż, który palił w łaźni, powiedział im, żeby nie marzli po próżnicy, bo geolodzy wrócą dopiero koło obiadu.

I rzeczywiście, ledwie zasiedli przy stole, kiedy stróż zapukał do okna. Ubrawszy się naprędce, wybiegli we trójkę na ganek.

— Teraz uwaga — powiedział stróż. — Za chwilę ukażą się na zboczu tej góry, na prawo od wierzchołka, potem znikną w tajdze, a potem za pół godziny będą w domu.

Tak się też stało. Początkowo spoza przełęczy wybiegł psi zaprzęg z naładowanymi saniami, a za nim śladem przemknęli śmigli narciarze.

W zestawieniu z potężnymi górami zdawali się być

Mama bardzo się zdziwiła, widząc obu swoich wspaniałych synów leżących na plecach, wrzeszczących i tłukących obcasami w ścianę tak mocno, że trzęsły się zawieszone na niej obrazy i huczała sprężyna w zegarze ściennym.

Ale kiedy dowiedziała się, skąd ta radość, nie rozgniewała się na synów, tylko zepchnęła ich z kanapy.

Wszystkim wiadomo, że listy bywają wesołe albo smutne, dlatego w czasie gdy matka czytała, Czuk i Hek z uwagą śledzili wyraz jej twarzy.

Początkowo matka nachmurzyła się i chłopcy też się nachmurzyli. Potem uśmiechnęła się, doszli więc do wniosku, że list musi być wesoły.

— Ojciec nie przyjedzie — powiedziała matka, odkładając list. — Ma jeszcze dużo pracy i nie puszczą go teraz do Moskwy.

Czuk i Hek spojrzeli po sobie zawiedzeni. List, jak się okazało, był tak smutny, że już bardziej nie można.

Nadąsali się więc, równocześnie pociągnęli nosami i gniewnie spojrzeli na matkę, która nie wiadomo dlaczego uśmiechała się.

— Ojciec nie przyjedzie — ciągnęła matka — ale zaprasza nas wszystkich do siebie w odwiedziny.

Czuk i Hek zerwali się z kanapy.

— Cóż za dziwak z tego waszego ojca! — westchnęła matka. — Łatwo mu powiedzieć „przyjedźcie". Jakby wystarczyło wsiąść do tramwaju i pojechać!

— No właśnie! — podchwycił Czuk. — Jeśli tata tak pisze, to wsiądźmy i jedźmy.

— Głuptasie — powiedziała matka. — Tam się jedzie tysiące kilometrów pociągiem. A potem, przez tajgę, saniami zaprzężonymi w konie. A w tajdze są wilki i niedźwiedzie. Pomyśleć tylko, co za zwariowany pomysł!

— Hurra! — Czuk i Hek bez wahania oświadczyli, że gotowi są jechać nie tylko tysiąc, ale nawet sto tysięcy kilometrów i niczego się nie boją.

Rozmawiali długo, wymachując rękami, tupiąc i podskakując, a matka słuchała ich w milczeniu. Wreszcie roześmiała się, schwyciła obu synów na ręce, zakręciła się po pokoju, a potem runęła wraz z nimi na kanapę.

Bo matka już od dawna oczekiwała tego listu i tylko droczyła się z Czukiem i Hekiem — taki już miała charakter.

Minął cały tydzień, zanim matka przygotowała wszystko do drogi. Czuk i Hek również nie tracili czasu na próżno.

Czuk zmajstrował sobie szytelet z noża kuchennego, a Hek znalazł gładki kij, wbił weń gwóźdź i w ten sposób stał się właścicielem dzidy. Dzida ta była tak mocna, że gdyby przekłuć skórę niedźwiedzia, a potem wbić mu tę dzidę prosto w serce, to niedźwiedź natychmiast przestałby żyć.

Wreszcie przygotowania były ukończone. Bagaż spakowano, na drzwiach zamocowano drugi zamek, aby do mieszkania nie zakradli się złodzieje. Wymieciono z szafy resztki chleba, mąki i kaszy, żeby myszy się nie zalęgły. W końcu matka pojechała na dworzec kupić bilety na wieczorny pociąg, który odchodził nazajutrz.

A wtedy Czuk i Hek pokłócili się.

Ach, gdyby mogli przewidzieć, jak smutno skończy się ta kłótnia, nie kłóciliby się za nic w świecie.

Zapobiegliwy Czuk miał płaskie metalowe pudełeczko, w którym przechowywał sreberko od czekolady, papierki od cukierków, jeśli widniał na nich wizerunek czołgu, samolotu lub żołnierza, ptasie pióra, niezbędne do robienia strzał, końskie włosie do różnych sztuczek i mnóstwo innych bardzo potrzebnych rzeczy.

Hek nie miał takiego pudełka. Hek w ogóle był gapą. Za to pięknie śpiewał.

Właśnie wtedy, kiedy Czuk wydobywał ze skrytki swoje bezcenne pudełeczko, a Hek w pokoju śpiewał jakąś piosenkę, przyszedł listonosz i wręczył Czukowi telegram dla matki.

Czuk schował telegram do swojego pudełeczka i poszedł sprawdzić, dlaczego Hek już nie śpiewa, tylko wrzeszczy:

— Tra-ra-ra!

Naprzód, hurra!

Czuk zaciekawiony otworzył drzwi i zobaczył takie „hurra", że aż zatrząsł się ze złości.

pając po świeżo umytej podłodze, podszedł do Heka i dotknął zimnym nosem jego ręki, jakby chciał powiedzieć: „Widzisz, głuptasie, ja cię odnalazłem i za to powinienem dostać coś smacznego".

Mama ulitowała się i rzuciła Śmiałemu kawałek kiełbasy. Na to stróż zaczął burczeć i powiedział, że jeśli w tajdze zacznie się psy karmić kiełbasą, to nawet sroki będą się z tego śmiały.

Na to matka odkroiła jeszcze jeden duży kawał i poczęstowała go również. Stróż podziękował i odszedł, potrząsając głową w zdumieniu i coś tam mrucząc pod nosem.

Następnego dnia zapadło postanowienie, aby na Nowy Rok przygotować choinkę.

Próbowali robić zabawki, z czego się tylko dało.

Wycięli ze starych pism wszystkie kolorowe obrazki. Ze szmat i waty uszyli zwierzątka i lalki. Wyciągnęli z szuflady ojca wszystką bibułkę do papierosów i zrobili z niej piękne kwiaty.

Nawet stróż, zwykle taki ponury i nietowarzyski, kiedy przynosił drwa, na długo zatrzymywał się w drzwiach i podziwiał ich coraz to nowe i nowe pomysły. Wreszcie nie wytrzymał. Przyniósł im srebrny papier z opakowania od herbaty i duży kawałek wosku, który miał w zapasie.

To było wspaniałe! Fabryka zabawek zamieniła się od razu w fabrykę świec. Świece były krzywe i niezgrabne, ale paliły się tak mocno, jak najpiękniejsze świece, kupione w sklepie.

Pozostawała tylko sprawa choinki. Matka poprosiła stróża o siekierę, ale ten jej nie odpowiedział, tylko założył narty i poszedł do lasu. Po półgodzinie wrócił.

I cóż! Chociaż zabawki były może nie najpiękniejsze, szmaciane zające podobne były do kotów, a wszystkie lalki jednakowe — z prostymi nosami i wyłupiastymi oczyma — i chociaż szyszki jodłowe, owinięte sreberkiem, nie lśniły tak, jak kruche i przezroczyste szklane zabawki, to jednak takiej choinki na pewno nie miał nikt w Moskwie. Była to prawdziwa leśna piękność — wysoka, rozłożysta, prosta, z gałązkami, które rozszczepiały się na końcach jak gwiazdki.

wymachiwał szarym ogonem i spoglądał przymilnie na leżącą na stole pajdę chleba.

Okazało się, że w czasie, gdy matka z Czukiem poszli po wodę, Hek postanowił zrobić im kawał. Wziął swój kożuszek i czapkę i schował się do kufra. Kiedy matka z Czukiem wrócą i zaczną go szukać, zamierzał wyskoczyć z ukrycia ze straszliwym wrzaskiem. Ale matka i Czuk długo nie wracali. Hek leżał, leżał i w końcu zasnął.

Nagle stróż wstał, podszedł do matki i rzucił na stół ciężki klucz i pomiętą niebieską kopertę.

— Macie — powiedział. — To dla was. Klucz od pokoju i spiżarni i list od kierownika. Sieriogina. Będzie tu z ludźmi za cztery dni, akurat na Nowy Rok.

Więc po to wyjechał ten pochmurny, nieżyczliwy starzec! Powiedział, że jedzie na polowanie, a sam wyruszył na nartach do dalekiego wąwozu Alkarasz.

Nie otwierając listu, matka wstała i z wdzięcznością położyła staremu rękę na ramieniu.

Stary nic nie odpowiedział, tylko zaczął gderać na Heka, że ten rozsypał w kufrze proch z pudełka, a potem na matkę, że rozbiła szybę w latarni. Gderał długo i uparcie, ale teraz nikt się już tym nie przejmował i nikt się nie bał tego poczciwego dziwaka.

Cały ten wieczór matka nie odstępowała Heka i przy lada okazji chwytała go za rękę, jakby się bała, że syn za chwilę znowu zniknie.

I tak bardzo się o niego troszczyła, że wreszcie Czuk się obraził i w duchu nawet pożałował, że to nie on schował się w kufrze.

Teraz zrobiło się wesoło. Następnego ranka stróż otworzył pokój, gdzie mieszkał ich ojciec. Napalił w piecu i przeniósł tutaj wszystkie ich bagaże. Pokój był duży i jasny, ale panował w nim okropny bałagan.

Matka zaraz zabrała się do sprzątania. Cały dzień wszystko przestawiała, myła, szorowała i układała.

Kiedy wieczorem stróż przyszedł z wiązką drzewa, zdziwiony niezwykłą przemianą i czystością, przystanął na progu i nie miał odwagi wejść.

Natomiast pies Śmiały nie przejął się tym zbytnio. Stą-

Na środku pokoju stało krzesło, a na jego oparciu wisiała podarta, poprzekłuwana dzidą gazeta. Ale to jeszcze nic. Wstrętny Hek, w przekonaniu, iż ma przed sobą żywego niedźwiedzia, wściekle walił dzidą w żółte kartonowe pudło — to samo, w którym Czuk przechowywał blaszaną trąbkę sygnałową, trzy kolorowe znaczki i pieniądze — czterdzieści sześć kopiejek, których nie roztrwonił, jak Hek, na różne głupstwa, tylko zapobiegliwie odłożył na daleką drogę.

Trudno się dziwić, że na widok podziurawionego pudła Czuk wyrwał Hekowi dzidę, złamał ją o kolano i cisnął na podłogę.

Wtedy Hek rzucił się na niego jak jastrząb i wyrwał mu z rąk metalowe pudełeczko. Potem jednym susem znalazł się na parapecie i rzucił je przez otwarte okno.

Czuk wrzasnął wniebogłosy i z krzykiem: „Telegram! Telegram", w samym palcie, bez czapki i kaloszy, wybiegł za drzwi.

Przeczuwając coś niedobrego, Hek pobiegł za nim. Ale po metalowym pudełeczku, zawierającym nie przeczytany telegram, nie było śladu.

Może wpadło w zaspę i leżało głęboko w śniegu, a może spadło na chodnik i podniósł je jakiś przechodzień — tak czy inaczej, przepadło na wieki wraz z wszystkimi zawartymi w nim skarbami i telegramem.

Po powrocie do domu Czuk i Hek zapadli w ponure milczenie. Nie kłócili się już, bo wiedzieli, że i tak od matki dostanie im się jednakowo. Ale ponieważ Czuk był o cały rok starszy od Heka, więc w obawie, że oberwie więcej, zaproponował:

— Słuchaj, Hek, a gdyby tak nic mamie nie mówić o telegramie? Wielka mi rzecz, telegram! Dobrze nam i bez niego!

— Kłamać jest brzydko — westchnął Hek. — Mama zawsze najbardziej się gniewa za kłamstwo.

— Przecież nie musimy kłamać! — zawołał radośnie Czuk. — Jeśli mama spyta, gdzie jest telegram, to jej powiemy. A jeśli nie spyta, to nie. Nie będziemy się wyrywać pierwsi!

— No dobrze! — zgodził się Hek. — Jeśli nie trzeba kłamać, to ja się zgadzam. Fajnie to wymyśliłeś.

Ledwie to powiedział, weszła mama. Była wesoła, bo dostała dobre bilety na pociąg — ale mimo to spostrzegła od razu, że jej ukochani synowie mają smutne miny i zapłakane oczy.

— Opowiadajcie, urwisy — rzekła, otrzepując z siebie śnieg — o co pobiliście się tym razem?

— Wcaleśmy się nie bili — odpowiedział Czuk.

— Wcale — poparł go Hek. — Najpierw chcieliśmy się pobić, ale potem nam się odechciało.

— To mi się podoba — powiedziała matka.

Rozebrała się, usiadła na kanapie i pokazała im twarde zielone bilety — jeden duży i dwa małe. Potem zjedli kolację, gwar ucichł, światło zgasło i wszyscy zasnęli.

— Czekaj, nie płacz! — huknął stróż. — Kiedy zginął? Dawno? Niedawno? Stój, Śmiały! — krzyknął do psa. — Mówcie prędzej!

— Przed godziną — odparła matka. — Chodziliśmy po wodę. Przyszliśmy, a jego nie ma. Ubrał się i gdzieś poszedł.

— Przez godzinę daleko nie zaszedł, a w palcie i w walonkach od razu nie zamarznie. Śmiały, do mnie! Masz, powąchaj...

Stróż ściągnął z gwoździa szalik i podsunął psu pod nos także kalosze Heka. Pies uważnie obwąchał rzeczy i popatrzył mądrymi oczyma na pana.

— Za mną! — otwierając drzwi, powiedział stróż. — Szukaj, Śmiały, szukaj!

Pies machnął ogonem i nie ruszył się z miejsca.

— Naprzód! — surowo powtórzył stróż. — Szukaj, Śmiały!

Pies niespokojnie wietrzył, przestępował z nogi na nogę i nie ruszał się z miejsca.

— Co to za tańce? — rozgniewał się stróż. Jeszcze raz podsunął psu pod nos szalik i kalosze Heka i szarpnął go za obrożę.

Ale Śmiały nie poszedł za panem. Pokręcił się, zawrócił i ruszył do przeciwległego kąta izby.

Tam zatrzymał się przed dużym drewnianym kufrem, zaskrobał weń kudłatą łapą i zwróciwszy się ku swemu panu, trzy razy głośno i leniwie szczeknął.

W kufrze, na kupie różnych szmat, skór, worków, przykryty swoim kożuszkiem, z czapką pod głową, spokojnym, głębokim snem spał Hek.

Kiedy wyciągnięto go i obudzono, mrugał sennie oczyma i w żaden sposób nie mógł zrozumieć, czemu dokoła panuje taki rumor i taka radość. Matka całowała go i płakała. Czuk szarpał go za ręce i nogi, skakał i krzyczał:

— Ej la! Ej la la!

Kudłaty pies Śmiały, którego Czuk pocałował w pysk, obrócił się zawstydzony i także nic nie rozumiejąc, lekko

Matka rozgniewała się i kazała Hekowi wyłazić. Nikt jednak nie odpowiedział. Wtedy Czuk wziął długi pogrzebacz i począł nim szurać pod piecem. Ale tam także nikogo nie było.

Matka zaniepokoiła się, spojrzała na gwóźdź przy drzwiach. Kożuszek Heka i czapka zniknęły.

Wyszła więc na podwórze, obeszła chatę dookoła. Weszła do sieni, zapaliła latarnię. Zajrzała do ciemnej komórki, pod daszek, gdzie leżały drwa na opał...

Wołała Heka, groziła, prosiła, ale nikt jej nie odpowiadał. A mrok gęstniał coraz bardziej, otulając wszystko dokoła.

Wtedy matka wbiegła do izby, zerwała ze ściany strzelbę, schwyciła naboje i latarkę i krzyknąwszy na Czuka, aby nie ważył się ruszać z miejsca, wybiegła na podwórko.

W ciągu czterech dni wokół chaty nadeptano mnóstwo śladów. Matka nie wiedziała, gdzie szukać Heka, ale pobiegła w stronę drogi, gdyż nie wierzyła, aby Hek odważył się sam pójść do lasu.

Na drodze nie było nikogo.

Załadowała więc strzelbę i wystrzeliła. Odczekała chwilę, potem wystrzeliła jeszcze raz i jeszcze.

Nagle zupełnie blisko rozległ się w odpowiedzi inny wystrzał. Ktoś spieszył jej z pomocą. Chciała wybiec mu na spotkanie, ale walonki uwięzły jej w zaspie. Latarnia wpadła w śnieg, szkło pękło i światło zgasło.

Z ganku strożówki rozległ się przeraźliwy krzyk Czuka. Słysząc strzały, Czuk doszedł do przekonania, że wilki, które pożarły Heka, dobrały się teraz do jego matki.

Matka zostawiła latarnię w śniegu i dysząc ciężko, pobiegła ku domowi. Wepchnęła rozebranego Czuka do izby, cisnęła strzelbę w kąt i zaczerpnąwszy czerpakiem lodowatej wody z kadzi, wypiła ją chciwie.

Na ganku rozległ się hałas i tupanie. Do izby wpadł pies, a za nim wszedł stróż, cały w kłębach pary.

— Co się dzieje? Co za strzelanina? — spytał, nie rozbierając się i nie mówiąc dzień dobry.

— Zginął chłopiec — odparła matka. Z jej oczu popłynęły łzy. Nie mogła więcej wydobyć z siebie słowa.

A że matka nic nie wiedziała o telegramie, więc oczywiście wcale o niego nie zapytała.

Następnego dnia wyruszyli w podróż. Ale ponieważ pociąg odchodził z dworca późną nocą, więc w czarnych oknach nic ciekawego nie dało się wypatrzyć.

Nocą Heka obudziło pragnienie. Żarówka pod sufitem nie paliła się, ale wszystko wokół jaśniało błękitnym światłem — drżąca w takt ruchu kół szklanka na stoliku przykrytym serwetką, żółta pomarańcza, która wydawała się teraz zielonkawa — i twarz uśpionej głęboko matki. Przez ośnieżone, pokryte lodowym wzorkiem okno wagonu Hek zobaczył księżyc — taki wielki, jakiego nawet w Moskwie nie widywał. Doszedł do wniosku, że pociąg jedzie teraz przez wysokie góry, skąd do Księżyca jest znacznie bliżej.

Obudził mamę i poprosił o coś do picia. Ale mama z wiadomego powodu nie dała mu pić, tylko kazała zjeść kawałek pomarańczy.

Hek obraził się, wziął pomarańczę, ale spać mu się odechciało. Szturchnął Czuka — a nuż się przebudzi. Ale Czuk tylko fuknął gniewnie przez sen i spał dalej.

Wtedy Hek włożył walonki, otworzył drzwi i wyszedł na korytarz. Korytarz wagonu był długi i wąski. Przy ścianach umocowane były składane krzesełka, które zatrzaskiwały się z hałasem, kiedy się z nich złaziło. Z drugiej strony ciągnęło się dziesięć par drzwi — wszystkie błyszczące, czerwone, z żółtymi, pozłacanymi klamkami.

Hek posiedział na jednym krześle, potem na drugim, na trzecim i doszedł tak do samego końca wagonu. Ale na korytarzu pojawił się konduktor z latarką i zwrócił Hekowi uwagę, że ludzie śpią, a on trzaska siedzeniami.

Kolejarz odszedł, a Hek pospiesznie ruszył do swego przedziału. Z trudem otworzył drzwi, a potem zamknął je cicho, żeby nie zbudzić mamy, i rzucił się na miękką pościel. A ponieważ grubas Czuk rozwalił się na całą szerokość półki, Hek bez ceremonii dał mu kuksańca w bok, żeby się posunął.

Ale tu stało się coś okropnego — zamiast okrągłej, jasnej głowy Czuka spod kołdry wyjrzała gniewna, wąsata twarz jakiegoś mężczyzny i surowy głos zapytał:

— Kto się tu rozpycha?

Hek wrzasnął, co siły w płucach. Wystraszeni pasażerowie zerwali się z półek, zapaliło się światło i Hek rozbeczał się jeszcze głośniej, widząc, że trafił nie do swego przedziału, lecz do obcego.

Wszyscy od razu zrozumieli, co się stało, i zaczęli się głośno śmiać. Wąsaty pan włożył spodnie i wojskową bluzę i odprowadził Heka do jego przedziału.

Hek wśliznął się pod kołdrę i zamarł bez ruchu. Wagon się kołysał, szumiał wiatr.

Nieprawdopodobnie wielki księżyc oświetlał niebiesko drżącą szklankę, żółtą pomarańczę na białej serwetce i twarz matki, która uśmiechała się przez sen, nie wiedząc, jakie nieszczęście przydarzyło się jej synowi.

Wreszcie Hek zasnął.

I przyśnił mu się dziwny sen —
coś w mroku poruszyło się
i coś wśród ciszy szeptem woła —
może to wiatr, a może koła.
Parowóz szybko mknie jak ptak,
wagony z nim gawędzą tak:

Pierwszy: Hej, przyjacielu, spiesz się, spiesz
przez noc i wiatr, przez śnieg i deszcz!

Drugi: Latarnie, siejcie mocny blask,
póki świtania przyjdzie czas!

Trzeci: Ogniu, wesoło w nocy błyskaj!
Niech lecą iskry z paleniska!

Czwarty: Wkrótce nasz zgodny zmilknie chór.
Już blisko do Błękitnych Gór!

Kiedy Hek się obudził, koła już nie gawędziły, tylko postukiwały miarowo pod podłogą wagonu. Przez oszronione okna świeciło słońce. Łóżka były posłane. Umyty Czuk gryzł jabłko, mama z wąsatym oficerem, stojąc w otwartych drzwiach, zaśmiewali się z nocnych przygód Heka. Czuk od razu pokazał Hekowi ołówek ze skuwką z żółtej gilzy, który podarował mu oficer.

Hek nie był chciwy i nigdy nie zależało mu na rzeczach. Hek był gapą i ofermą. Mało, że w nocy wszedł do cu-

między siebie sroki. Na obiad ugotowali więc tylko kaszę na oleju z cebulą. Chleb się kończył, ale matka znalazła mąkę i napiekła placków.

Po takim obiedzie Hek posmutniał i matce wydało się, że Hek ma gorączkę.

Kazała mu więc siedzieć grzecznie w domu, ubrała Czuka, wzięła wiadra i sanki i wyszli razem, aby przywieźć wody, a za jednym zamachem nazbierać pod lasem gałęzi i chrustu — wtedy rano łatwiej będzie napalić w piecu.

Hek został sam. Czekał długo i wreszcie zaczęło mu się nudzić. Wtedy przyszedł mu do głowy pewien pomysł.

Matka i Czuk trochę się zaguzdrali. W drodze powrotnej do domu sanki się przewróciły, woda wylała i trzeba było znów wracać do źródła. Potem okazało się, że Czuk zgubił pod lasem ciepłą rękawiczkę i znów musieli zawrócić z pół drogi. Póki poszukali, póki zebrali się do powrotu, nadszedł zmierzch.

Kiedy wrócili do domu, Heka w izbie nie było. Najpierw pomyśleli, że schował się na piecu pod kożuchami. Ale tam go nie było. Wtedy Czuk uśmiechnął się chytrze i szepnął do matki, że Hek na pewno schował się pod piecem.

wiadała im różne historie i bajki. Wreszcie zmorzył ją sen.

— Czuk — spytał Hek brata. — Dlaczego czarodzieje bywają tylko w różnych bajkach i książkach? A gdyby tak byli naprawdę?

— I wiedźmy, i diabły też? — spytał Czuk.

— Eee! — z irytacją machnął ręką Hek. — Co nam po diabłach? Jaki z nich pożytek? A czarodzieja można poprosić, żeby poleciał do taty i powiedział mu, że już od dawna tu jesteśmy.

— A na czym by poleciał?

— Bo ja wiem, na czym? Zamachałby rękami albo coś w tym rodzaju... Już on by wiedział!

— Teraz jest za zimno, żeby machać rękami — powiedział Czuk. — Ja mam dwie pary rękawiczek, jedne z palcami, a drugie bez, ale kiedy nosiłem drwa, to tak mi ręce zmarzły, że nie wiem.

— Ale powiedz sam, dobrze byłoby, nie?

— Bo ja wiem... — zawahał się Czuk. — Pamiętasz, na podwórku w suterenie, obok drzwi Miszki Kriukowa, mieszkał taki jeden kulawy. To sprzedawał obarzanki, to znów przychodziły do niego różne baby i staruszki, a on im wróżył, która będzie miała szczęśliwe życie, a która nie.

— I sprawdzało się?

— Nie wiem. Tylko że potem przyszła milicja i go zabrała, a w jego mieszkaniu znaleziono dużo cudzych rzeczy.

— To znaczy, że to nie był czarodziej, tylko oszust. Jak myślisz?

— Jasne, że oszust — zgodził się Czuk. — Ale mnie się zdaje, że wszyscy czarodzieje to oszuści. Sam powiedz, po co ma taki pracować, jeśli i tak może się wcisnąć przez każdą dziurę i wziąć sobie wszystko, co zechce... A w ogóle, Hek, śpij już, bo ja i tak nie będę z tobą rozmawiał.

— Dlaczego?

— Dlatego. Bo pleciesz różne bzdury, a w nocy wszystko to ci się przyśni i zaczniesz się rozpychać łokciami i kolanami. Myślisz, że mi było przyjemnie wczoraj, jak mnie walnąłeś pięścią w brzuch? Daj, to ja cię też walnę.

Na czwarty dzień rano matka musiała sama narąbać drzewa. Zająca dawno już zjedli, a jego kości podzieliły

dzego przedziału — teraz w dodatku nie mógł sobie przypomnieć, gdzie położył spodnie. Ale Hek pięknie śpiewał.

Kiedy się umył i przywitał z mamą, przycisnął czoło do zimnej szyby i począł patrzeć, co to za kraina, jak tu żyją i co robią ludzie.

Podczas gdy Czuk wędrował od przedziału do przedziału i zawierał znajomości z pasażerami, którzy chętnie obdarowywali go różnymi drobiazgami w rodzaju gumowego korka, gwoździa lub kawałka sznurka. Hek zdążył zobaczyć przez okno wiele rzeczy.

Oto na przykład chatka wśród lasu. W ogromnych walonkach, w samej koszuli i z kotem w rękach wybiegł na ganek chłopiec. Bęc — kot pokoziołkował w puszystą zaspę i gramoląc się z niej niezgrabnie, pobiegł po miękkim śniegu. Ciekawe, za co go ukarano? Może ściągnął coś ze stołu?

Ale oto po chatce, chłopcu i kocie nie pozostało już śladu. W polu stoi fabryka. Białe pole, czerwone kominy. Czarny dym, żółte światła. Ciekawe, co też produkują w tej fabryce? A oto budka i przy niej opatulony w kożuch wartownik. Wartownik w kożuchu wydaje się potężny i gruby, a jego karabin cieniutki jak słomka. Ale to się tylko tak wydaje.

Potem za oknem zaczął śmigać las. Drzewa, które były bliżej, przeskakiwały szybko obok szyby, podczas gdy dalsze przesuwały się powoli, jakby tańcząc w powodzi wirujących płatków.

Hek zawołał Czuka, wracającego do przedziału z bogatym łupem, i zaczęli razem przyglądać się temu, co przesuwało się za oknem.

Po drodze trafiały się stacje duże i jasno oświetlone, na których sapało i gwizdało równocześnie po sto parowozów — i trafiały się zupełnie tycie, prawie jak ten kiosk z artykułami spożywczymi na rogu ich domu w Moskwie.

Przemknęły obok nich pociągi naładowane rudą, węglem i ogromnymi, grubymi jak pół wagonu balami drzewnymi.

W pewnym momencie dogonili pociąg z bykami i krowami. Parowóz, który go ciągnął, był niewielki i gwizdał

Czuk namawiał matkę, aby wzięła ze sobą strzelbę lub przynajmniej naboje. Ale matka nie chciała.

Co więcej — umyślnie powiesiła strzelbę wysoko na kołku, potem weszła na taboret, położyła naboje na najwyższej półce i uprzedziła Czuka, że jeśli zwędzi choć jeden nabój, to niech się nie spodziewa niczego dobrego.

Czuk zaczerwienił się i odszedł pospiesznie, bo jeden nabój miał już w kieszeni.

Piękny to był spacer! Szli gęsiego do źródła wąziutką ścieżyną. Nad nimi jaśniało zimne, błękitne niebo, jak baśniowe zamki i wieże pięły się ku górze ostre urwiska Błękitnych Gór. W lodowej ciszy trajkotały wszędobylskie sroki. Wśród gęstych gałęzi cedrowych skakały wesoło szare, zwinne wiewiórki. Pod drzewami, na miękkim, białym śniegu, widniały tajemnicze ślady nieznanych zwierząt i ptaków. Nagle w oddali coś załomotało, zatrzeszczało, jęknęło. To pewnie, łamiąc gałęzie, runęła z wierzchołka drzewa góra zlodowaciałego śniegu.

Dawniej, kiedy Hek mieszkał w Moskwie, myślał, że cała ziemia składa się z Moskwy, to znaczy z ulic, domów, tramwajów i autobusów.

Teraz wydawało mu się, że cała ziemia składa się z wysokiego, ciemnego lasu.

I w ogóle, jeśli nad głową Heka świeciło słońce, to Hek był pewien, że nigdzie na całej ziemi nie ma chmur ani deszczu, tylko wszędzie jest to słońce.

A jeśli było mu wesoło, to myślał, że wszystkim ludziom na świecie jest wesoło i dobrze.

Minęły dwa dni, zaczął się trzeci, a stróż z lasu nie wracał. Trwoga zawisła nad małą, tonącą w śniegu chatką.

Szczególnie strasznie było wieczorami i nocą. Zamykali mocno na klucz sień i izbę i żeby nie zwabić światłem dzikich zwierząt, zawieszali szczelnie okna chodnikami, chociaż, być może, należało robić na odwrót — przecież zwierzę to nie człowiek i boi się światła. Tymczasem w kominie hulał wicher, a kiedy zamieć cięła ostrymi kruszynami lodu w ściany i okna, wszystkim zdawało się, że to ktoś stuka i skrobie do drzwi.

Ułożyli się więc do snu na piecu i tam matka długo opo-

Stróż podniósł na nią oczy i napotkał surowy wzrok Heka.

— Oho, widzę, że uparte z was sztuki — burknął, podał matce kożuch i sięgnął na półkę po naczynia.

— Gdzie to się tak rozerwało? — spytał Czuk, wskazując dziurę w kożuchu.

— Posprzeczaliśmy się z misiem, to mnie i drapnął — odparł niechętnie stróż i z hałasem postawił na stole ciężki gar z kapuśniakiem.

— Słyszysz, Hek? — powiedział Czuk, kiedy stróż wyszedł do sieni. — Pobił się z niedźwiedziem i pewnie dlatego jest taki zły.

Hek sam wszystko słyszał. Ale nie lubił, kiedy ktoś burczał na jego matkę, nawet gdyby to był człowiek, który pobił się z samym niedźwiedziem.

Rano, o świcie, stróż wziął ze sobą plecak, strzelbę, psa, założył narty i poszedł do lasu. Teraz trzeba było gospodarzyć samemu.

Chodzili więc po wodę we trójkę. Za pagórkiem ze stromej skały przykrytej śniegiem biło źródełko. Od wody, jak od czajnika, szła gęsta para, ale kiedy Czuk podstawił pod strumień palec, okazało się, że woda jest jeszcze zimniejsza od lodu.

Potem nosili drwa. Matka nie umiała palić w rosyjskim piecu, toteż drzewo długo nie chciało się zapalić, ale kiedy w końcu zapaliło się, to tak silnym płomieniem, że gruby lód na oknie na przeciwległej ścianie od razu stopniał. Teraz przez szybę widać było skraj lasu, drzewa, po których skakały sroki, i skaliste szczyty Błękitnych Gór.

Matka umiała patroszyć kury, ale nigdy jeszcze nie miała do czynienia z zającem, toteż męczyła się z nim tak długo, że przez ten czas można było obedrzeć ze skóry i poćwiartować całego wołu.

Hekowi wcale się to obdzieranie nie podobało, ale Czuk chętnie pomagał matce, za co dostał mu się ogon zająca, tak lekki i puszysty, że gdy się go zrzuciło z pieca, spadał na podłogę płynnie jak spadochron.

Po obiedzie wyszli we trójkę na spacer.

jakoś tak cienko i piskliwie. Aż tu jeden byk jak nie ryknie: mu-u! Nawet maszynista się odwrócił — pomyślał pewnie, że to jedzie za nimi jakiś duży parowóz.

Potem na przejeździe zatrzymali się tuż przy potężnym, żelaznym pociągu pancernym. Groźnie sterczały z wieżyczek otulone brezentem działa. Czerwonoarmiści wesoło przytupywali, uderzali rękawicami, żeby się rozgrzać.

Tylko jeden, w skórzanym płaszczu, stał przy pociągu milczący i zamyślony. Czuk i Hek doszli do wniosku, że to na pewno dowódca, który czeka na rozkaz od Woroszyłowa, aby otworzyć ogień przeciwko jakiemuś wrogowi.

Tak, wiele ciekawego udało im się zobaczyć w czasie podróży. Szkoda tylko, że na dworze hulały zamiecie i okna wagonu były często zalepione śniegiem.

Wreszcie nad ranem pociąg zajechał na małą stacyjkę.

Ledwie matka zdążyła wysadzić Czuka i Heka i odebrać od wojskowego bagaże, gdy pociąg ruszył dalej.

Walizki leżały na śniegu. Drewniany peron wkrótce opustoszał, a ojciec wciąż po nich nie przychodził.

Wtedy matka rozgniewała się na ojca i pozostawiwszy synom opiekę nad bagażem, poszła się wywiedzieć, czy ojciec przysłał po nich samie, bo do miejsca, gdzie mieszkał, pozostawało jeszcze sto kilometrów drogi przez tajgę.

Matka nie wracała bardzo długo, a tu jeszcze, jak na złość, przypałętał się jakiś kozioł. Najpierw oskubywał korę z zamarzniętego polana, potem zabeczał niemiło i począł podejrzanie przypatrywać się Czukowi i Hekowi.

Czuk i Hek pospiesznie ukryli się za walizkami, bo kto tam wie, jakie mają zwyczaje kozły w tych stronach.

Wkrótce wróciła matka. Była bardzo przygnębiona i powiedziała, że ojciec pewnie nie otrzymał ich telegramu, bo nie przysłał po nich na stację żadnych koni.

Wtedy zawołali woźnicę. Woźnica długim batem zdzielił konie po grzbiecie, zabrał rzeczy i zaniósł je do kolejowego bufetu. Bufet był bardzo malutki. Na ladzie parskał wielki, prawie tak duży jak Czuk, samowar. Samowar podskakiwał, posapywał, gęsta para kłębami wznosiła się ku drewnianej powale, pod którą ćwierkały wróble, przylatujące z ulicy, aby się ogrzać.

Dopóki Czuk i Hek pili herbatę, matka targowała się z woźnicą, ile weźmie za dowiezienie ich przez las na miejsce. Woźnica żądał bardzo dużo, aż sto rubli. Zresztą, co tu ukrywać, droga rzeczywiście była bardzo daleka.

W końcu dogadali się i woźnica poszedł do domu po chleb, siano i ciepłe kożuchy.

— Ojciec nie wie nawet, że już przyjechaliśmy — powiedziała matka. — To dopiero będzie zdziwiony i uradowany!

— No pewnie! — potwierdził Czuk, siorbiąc z powagą herbatę. — Ja też będę zdziwiony i uradowany!

— I ja też — zgodził się Hek. — Przyjedziemy cichutko, a jeśli taty nie będzie w domu, to schowamy walizki, a sami wleziemy pod łóżko. Tata przyjdzie. Usiądzie. Zamyśli się. Niczego nie zauważy. A my posiedzimy jeszcze trochę cicho w ukryciu, a potem nagle jak nie wrzaśniemy!

— Ja ani myślę włazić pod łóżko — powiedziała matka. — I wrzeszczeć też nie mam zamiaru. Róbcie to sami, jeśli chcecie. Czuk, po co chowasz cukier? I tak masz śmietnik w kieszeniach!

— Dla koni — wyjaśnił spokojnie Czuk. — Ty też weź kawałek chleba, Hek, bo nigdy nic nie masz, a potem się napraszasz.

Wkrótce przyszedł woźnica. Ułożyli bagaże na obszernych saniach, przetrząsnęli siano i owinęli się kocami i kożuchami.

Żegnajcie, wielkie miasta, fabryki, stacje, wsie i osiedla! Teraz przed nimi tylko lasy, góry i znowu gęsty, ciemny las!

Krzycząc ze zdumienia i radości, przypatrując się dzikiej tajdze, nie zauważli nawet, kiedy nadszedł wieczór. Ale Czukowi, który spoza pleców woźnicy niewiele widział, wreszcie się to znudziło. Poprosił więc matkę o kawałek ciasta albo bułki.

Matka, ma się rozumieć, nic mu nie dała. Toteż Czuk zasępił się i z braku lepszego zajęcia zaczął szturchać Heka i przypierać go do poręczy.

zienia? Zakuć w kajdany i zesłać na bezludną wyspę? Nie, nic podobnego matka nie zrobiła. Westchnęła tylko, kazała synom zejść z pieca, wytrzeć nosy i umyć się, a sama zaczęła radzić się stróża, co ma teraz robić.

Stróż powiedział, że grupa, otrzymawszy pilne zadanie, wyruszyła do wąwozu Alkarasz i wróci nie wcześniej niż za dziesięć dni.

— Ale jak my tu przeżyjemy te dziesięć dni? — spytała matka. — Nie wzięliśmy ze sobą żadnych zapasów.

— Zwyczajnie — odparł stróż. — Chleba wam zostawię, tego zająca też możecie sobie wziąć. Obedrzecie go ze skóry i ugotujecie. A ja idę jutro na dwa dni w tajgę, muszę sprawdzić sidła.

— To niemożliwe — powiedziała matka. — Nie możemy tu zostać sami. Nie damy sobie rady. W lesie, wśród dzikich zwierząt!

— Zostawię wam drugą strzelbę! — powiedział stróż. — Drwa są pod daszkiem, woda w źródle za pagórkiem. Tu, w worku, jest kasza, a w słoiku sól. A zabawiać was nie mam czasu, róbcie, co chcecie.

— Jaki wstrętny! — szepnął Hek. — Powiedzmy mu coś, Czuk, dobra?

— Też pomysł! — obruszył się Czuk. — Żeby się rozzłościł i wypędził nas z domu? Poczekaj, przyjedzie tata, to wszystko mu opowiemy.

— Tata! Ale kiedy on przyjedzie!

Hek podszedł do matki, usiadł na jej kolanach i zmarszczywszy brwi, zmierzył groźnym wzrokiem złego stróża.

Stróż zdjął gruby kożuch i przysunął się do stołu, bliżej światła.

Dopiera wtedy Hek zauważył, że z kożucha zwisa potężny — od ramienia przez całe plecy — kawał wyrwanego futra.

— Weź z pieca kapuśniak — powiedział stróż do matki. — Na półce są łyżki i miski, siadajcie i jedzcie. A ja tymczasem zaszyję kożuch.

— Ty jesteś gospodarzem — odparła matka — więc zajmij się poczęstunkiem. A kożuch oddaj mnie, ja sobie lepiej z nim poradzę.

Początkowo Hek odpychał go cierpliwie, ale w końcu wpadł w złość i plunął na brata. Czuk też się rozzłościł i rzucił się do bójki. Ale ponieważ ręce mieli skrępowane ciężką baranicą, więc nie pozostawało im nic innego, jak tłuc się głowami, otulonymi w kaptury i szaliki.

Matka spojrzała na nich i roześmiała się. W tej samej chwili woźnica strzelił z bata i konie pomknęły szybciej. Na drogę wyskoczyły dwa białe puszyste zające i rzuciły się do ucieczki. Woźnica zawołał:

— Hej, hej! Oho — ho! Z drogi, bo przejadę!

Wesołe zające umknęły w podskokach do lasu. W twarz dął zimny wiatr. I chcąc nie chcąc, przytuliwszy się do siebie, Czuk i Hek jechali saniami pod górę na spotkanie tajdze i księżycowi, który wynurzał się powoli zza bliskich już Błękitnych Gór. Ale oto ni stąd, ni zowąd konie zatrzymały się przed małą, grzęznącą w śniegu chałupką.

— Tu przenocujemy — powiedział woźnica. — To nasze schronisko.

Chatka była mała, ale mocna. Ludzi w niej nie było. Woźnica szybko zagotował wodę. Z sań przyniesiono torbę z zapasami.

Kiełbasa była tak skostniała od mrozu, że można nią było wbijać gwoździe. Sparzono ją więc wrzątkiem, a kawałki chleba położono na gorącym piecu kuchennym.

Czuk wyszperał za piecem jakąś krzywą sprężynę — woźnica powiedział, że to sprężyna od żelaza, w które łapie się różną zwierzynę.

Sprężyna była zardzewiała i leżała tu bez żadnego zastosowania. Czuk od razu tak sobie pomyślał.

Wypili herbatę, najedli się i położyli spać. Pod ścianą stało szerokie drewniane łóżko. Zamiast materaca leżały na nim suche liście.

Hek nie lubił spać przy ścianie ani pośrodku. Wolał spać z brzegu. I chociaż od najwcześniejszych lat śpiewano mu kołysankę: „Baju — baju, nie śpij z kraju", Hek i tak zawsze kładł się spać z brzegu łóżka.

A jeśli kładziono go pośrodku, to przez sen zrzucał ze wszystkich kołdry, rozpychał się łokciami i wbijał Czukowi kolano w brzuch.

Nie rozbierając się, przykryci kożuchami, ułożyli się więc do snu — Czuk przy ścianie, matka w środku, a Hek z brzegu.

Woźnica zdmuchnął świeczkę i ułożył się na piecu. Wszyscy bardzo szybko zasnęli. Ale oczywiście, jak zawsze w nocy, Hekowi zachciało się pić, więc się obudził.

Po omacku włożył walonki, dobrnął w ciemności do stołu, napił się wody z czajnika i przysiadł przed oknem na taborecie.

Księżyc ukrył się za chmurami. W małym okienku zaspy śniegowe wydawały się czarne jak węgiel.

„Jak daleko wyjechał nasz tatuś!" — zdziwił się nagle Hek. I pomyślał, że dalszych miejsc niż to nie ma już chyba na świecie.

Wtem Hek nadstawił ucha. Zdawało mu się, że za oknem rozległo się stukanie. A właściwie nie tyle stukanie, co skrzypienie śniegu pod czyimiś ciężkimi łapami. Otóż to! W mroku coś jak gdyby głośno westchnęło, poruszyło się, zatupało i Hek doszedł do wniosku, że obok okna przeszedł niedźwiedź.

— Dokumenty siedzą na piecu — burknął stróż i oświetlił latarką zaniepokojone twarze Czuka i Heka. — Podobni do ojca jak dwie krople wody. Zwłasza ten gruby — i wskazał palcem na Czuka.

Czuk i Hek obrazili się. Czuk, bo nazwano go grubym, a Hek, bo zawsze uważał się za bardziej z nich dwóch podobnego do ojca.

— Po coście przyjechali? — spytał stróż, spojrzawszy na matkę. — Powiedziane było przecież, żeby nie przyjeżdżać.

— Jak to powiedziane? Dlaczego nie przyjeżdżać?

— A dlatego. Sam odwiozłem na stację telegram od Sieriogina, a w telegramie stało wyraźnie: „Odłóż przyjazd na dwa tygodnie. Nasza grupa wyrusza w tajgę z pilnym zadaniem". Jeśli Sieriogin pisze, żeby odłożyć, to trzeba odłożyć, a nie jechać na łeb, na szyję.

— Jaki telegram? — spytała matka. — Nie otrzymaliśmy żadnego telegramu. — I jakby szukając potwierdzenia, spojrzała niepewnie na Czuka i Heka.

Ale Czuk i Hek, wytrzeszczając przerażone oczy, w odpowiedzi cofnęli się w głąb przypiecka.

— Dzieci — spytała matka, patrząc podejrzliwie na synów. — Nie odbieraliście beze mnie żadnego telegramu?

Na piecu zachrzęściły suche szczapy i miotły, ale odpowiedzi nie było.

— Mówcie, łobuzy! — powiedziała matka. — Na pewno odebraliście telegram i nie oddaliście mi go?

Minęło jeszcze kilka sekund, po czym z pieca rozległ się zgodnie chóralny bek. Czuk ryczał basem i na jednej nucie, a Hek — ciężko, zachłystując się i pochlipując.

— Oto, kto zapędzi mnie wkrótce do grobu! — zawołała matka. — Nieszczęście wy moje! Przestańcie się wreszcie mazać i opowiedzcie po kolei, jak się to stało.

Jednakże na wieść o tym, że matka wybiera się do grobu, Czuk i Hek ryknęli jeszcze głośniej i minęło sporo czasu, zanim, przerywając sobie nawzajem i bezwstydnie zwalając winę jeden na drugiego, rozpoczęli swoją smutną opowieść.

I co z takimi począć? Złoić ich kijem? Wsadzić do wię-

— Jechaliśmy do ojca, jechaliśmy — no i proszę, przyjechaliśmy!

Matka usiadła na ławce i zamyśliła się. Co się stało, dlaczego baza świeci pustkami, co teraz robić? Jechać z powrotem? Ale pieniędzy zostało tylko tyle, żeby zapłacić za drogę. Trzeba więc czekać na powrót stróża. Ale woźnica za trzy godziny odjedzie. A jeśli stróż wróci nieprędko? Co wtedy? Przecież do najbliższej stacji telegrafu jest ponad sto kilometrów!

Wszedł woźnica. Rozejrzawszy się po izbie, wciągnął nosem powietrze, podszedł do pieca i otworzył drzwiczki.

— Stróż wróci przed nocą — uspokoił matkę. — Widzicie, w piecu stoi garnek z kapuśniakiem. Gdyby odszedł na długo, wyniósłby go na mróz... Zresztą, jak sobie chcecie — zaproponował. — Jeśli tak się sprawy mają, to ja też nie jestem z kamienia. Odwiozę was na stację za darmo.

— Nie — zaprotestowała matka. — Na stacji nie mamy nic do roboty.

Znów postawili herbatę, podgrzali kiełbasę, zjedli, wypili. Potem matka rozpakowała rzeczy, a Czuk i Hek wdrapali się na ciepły piec. Pachniało tam brzozowymi miotełkami i rozgrzaną owczą skórą, i sosnowymi szczapami. A ponieważ matka była zmartwiona i milcząca, więc Czuk i Hek także siedzieli cicho, przygnębieni. Ale długo w milczeniu nie usiedzisz, toteż, nie mogąc znaleźć sobie żadnego zajęcia, obaj bardzo szybko i mocno zasnęli.

Nie słyszeli, jak woźnica odjechał, jak matka weszła na piec i położyła się przy nich. Zbudzili się dopiero, kiedy w izbie było już zupełnie ciemno.

Zbudzili się wszyscy jednocześnie, gdyż na ganku rozległ się tupot nóg, a potem w sieni coś łupnęło — pewnie upadła łopata. Drzwi otworzyły się i do pokoju z latarnią w ręku wszedł stróż, a z nim duży, kudłaty pies.

Stróż zrzucił z ramienia strzelbę, cisnął na ławkę upolowanego zająca i oświetlając latarnią piec, zapytał:

— A to co znowu za goście?

— Jestem żoną kierownika stacji geologicznej, Sieriogina — powiedziała matka, zeskakując z pieca. — A to nasze dzieci. Mogę przedstawić dokumenty.

— Niedobry niedźwiedziu, czego ci trzeba? Tak długo jechaliśmy do taty, a ty chcesz nas zjeść, żebyśmy go nigdy więcej nie zobaczyli? Idź precz, dopóki ludzie nie zabili cię ostrą szablą albo nie zastrzelili ze strzelby!"

Tak myślał i mruczał pod nosem Hek, pełen strachu i ciekawości, coraz mocniej tuląc czoło do oblodzonej szyby małego okienka.

Ale oto spoza niesionych wiatrem chmur szybko wytoczył się księżyc. Czarne jak węgiel zaspy zalśniły miękkim, matowym blaskiem i Hek zobaczył, że to wcale nie żaden niedźwiedź, tylko koń, wyswobodziwszy się z pęt, chodzi wokół sań i skubie siano.

Heka wzięła złość. Wlazł z powrotem do łóżka pod kożuch, a ponieważ dopiero co myślał o przykrych rzeczach, więc sen miał także niezbyt przyjemny.

I przyśnił mu się sen straszliwy,
że oto Olbrzym przeraźliwy
żelazną pięścią grozi wszystkim
i krwawą pianę toczy z pyska.

Z błyskiem bagnetów, z dziką wrzawą
burżujskie wojska walą ławą,
w warkocie bębnów, wśród zamętu,
przez naszą ziemię nieobjętą.

„Zaczekajcie! — zawołał Hek. — Idźcie sobie stąd! Tu nie wolno!" Ale nikt go nie usłuchał i nie zatrzymał się.

Wtedy Hek, pełen oburzenia, schwycił blaszaną trąbkę, tę samą, którą Czuk przechowywał w pudle od butów, i zatrąbił tak głośno, że zamyślony dowódca żelaznego pociągu pancernego natychmiast podniósł głowę, władczo skinął dłonią i wtedy nagle zagrzmiały wszystkie jego wielkie i wspaniałe działa.

„Świetnie! — pochwalił je Hek. — Ale strzelcie jeszcze raz, bo to im chyba nie wystarczy!"

Matka obudziła się, gdyż jej ukochani synowie z obu stron kręcili się i wiercili niemiłosiernie.

Obróciła się w stronę Czuka i poczuła, jak w bok wbija

się jej coś twardego i ostrego. Pogrzebała w łóżku i wyciągnęła spod koca sprężynę, którą zapobiegliwy Czuk ukradkiem zabrał ze sobą idąc spać.

Matka wyrzuciła sprężynę pod łóżko. Przy blasku księżyca spojrzała w twarz Heka i pojęła, że śni mu się zły sen.

Sen to nie sprężyna, nie sposób go wyrzucić. Można go jednak odpędzić.

Matka przewróciła Heka z pleców na bok i ostrożnie podmuchała na jego rozpalone czoło.

Wkrótce Hek zasapał i uśmiechnął się, co oznaczało, iż zły sen minął.

Wtedy matka wstała i w samych pończochach, bez walonek, podeszła do okna.

Do świtu było jeszcze daleko — niebo usypane gwiazdami. Jedne z nich lśniły wysoko, inne nisko pochylały się nad czarną tajgą.

I — dziwna rzecz! — matka, tak samo jak mały Hek, pomyślała, że nie ma już chyba na świecie dalszego miejsca niż to, dokąd zaniosło jej obieżyświata — męża.

Przez cały następny dzień jechali lasem i przez góry. Kiedy wjeżdżali pod górę, woźnica zeskakiwał z sań i szedł obok po śniegu. Za to na stromych zboczach sanie nabierały takiego rozpędu, że Czukowi i Hekowi zdawało się, iż wraz z saniami i końmi spadają na ziemię z samego nieba.

Wreszcie pod wieczór, kiedy ludzie i konie byli już porządnie zmęczeni, woźnica powiedział:

— Jesteśmy na miejscu! Za tym cyplem będzie zakręt. Właśnie tam, na polanie, mieści się ich baza... Hej hop! Wioo!

Czuk i Hek zerwali się z wesołymi piskami, ale sanie szarpnęły i chłopcy zgodnie wylądowali na sianie.

Matka zrzuciła ze śmiechem wełnianą chustkę i została w samej tylko puszystej czapce.

Oto i zakręt. Sanie zakręciły z rozpędem i podjechały do trzech ośnieżonych domków, stojących na skraju lasu, na niedużej, osłoniętej od wiatru polance.

Ale — dziwna rzecz! Nie słychać było szczekania psów, nie widać było ludzi. Z kominów nie unosił się dym.

Wszystkie ścieżki tonęły pod grubą warstwą śniegu, a cicho było wokół jak zimą na cmentarzu. I tylko białobokie sroki przeskakiwały bez sensu z gałęzi na gałąź.

— Dokąd nas przywiozłeś? — spytała wystraszona matka woźnicę. — Czy to na pewno tutaj?

— Gdzieście chcieli, tam was przywiozłem — odparł woźnica. — Te domki to „Geologiczna baza zwiadowcza numer trzy". Na słupie jest wywieszka możecie sami przeczytać. A może chcecie się dostać do bazy numer cztery? To ze dwieście kilometrów stąd i w zupełnie innym kierunku.

— Nie, nie — odparła matka, spojrzawszy na wywieszkę. — Chciałam dojechać właśnie tu. Ale zobacz sam — drzwi zamknięte na kłódkę, na ganku śnieg... Gdzie się podziali ludzie?

— Sam nie rozumiem, gdzie mogli się podziać — zdziwił się woźnica. — W zeszłym tygodniu przywieźliśmy im zapasy — mąkę, cebulę, ziemniaki. Wtedy wszyscy tu byli — ośmiu, kierownik dziewiąty, a ze stróżem dziesięciu... To ci historia! Przecież ich wilki nie zjadły!... Poczekajcie no tu, a ja pójdę zobaczyć w stróżówce.

I zdjąwszy kożuch, woźnica ruszył przez zaspy ku najbliższej chatce.

Po chwili wrócił.

— W izbie nie ma nikogo, ale piec jest ciepły. To znaczy, że stróż jest, tylko pewnie poszedł na polowanie. Ale przed nocą na pewno wróci i wszystko wam powie.

— Co on mi tam powie! — jęknęła matka. — I bez niego widzę, że ludzi tu od dawna nie ma.

— Tego to już nie wiem, co powie — odparł woźnica — ale coś musi powiedzieć, od tego jest stróżem.

Z trudem dojechali do ganku stróżówki, skąd wiodła do lasu wąska ścieżynka.

Weszli do sieni i obok łopat, mioteł, siekier i kijów, obok przemarzniętej skóry niedźwiedziej, wiszącej na żelaznym haku, przeszli wprost do izby. Woźnica wciągnął za nimi bagaże. W izbie było ciepło.

Woźnica poszedł przygotować koniom paszę, matka zaś w milczeniu rozbierała wystraszone dzieciaki.

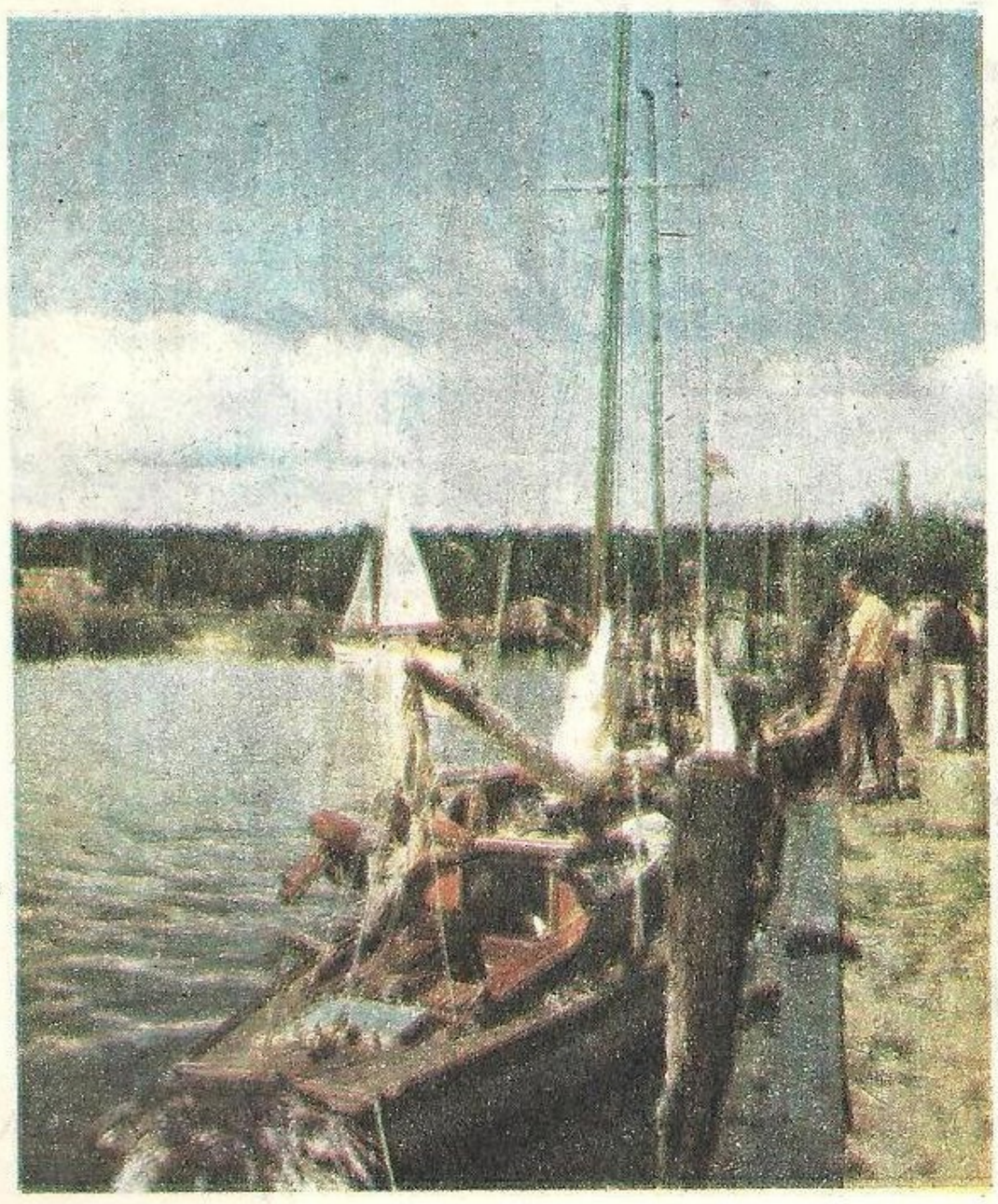

KRYNICA MORSKA

Nad piaszczystą, wąziutką mierzeją
mewy krążą i wiatry wciąż wieją.

Z jednej strony bałtyckie grzywacze,
z drugiej strony jest całkiem inaczej:

drzemie Zalew jak wielkie jezioro,
latem żagli zobaczysz tu sporo.

A wieżyce Fromborka strzeliste
zapraszają do siebie turystę.

Zimą lodem pokrywa się Zalew,
lecz żeglarzy nie martwi to wcale!

Wiatr bałtycki im służy i teraz:
mkną po lodzie na zwinnych bojerach!

Lecz już lepiej tu latem przyjechać,
gdy się słońce do ludzi uśmiecha.

Przyjedź także do Morskiej Krynicy,
by się złotą mierzeją zachwycić!

FROMBORK

Szumią fale na Zalewie,
brzeg malują śnieżną pianą.
noc zamyka oczy mewom,
nad Fromborkiem księżyc stanął.

Nad Fromborkiem gwiazdy świecą,
wysrebrzają smukłe wieże —
dzień je zgarnia swoją siecią
i obfity połów zbierze.

Nad Fromborkiem świecą gwiazdy —
pamiętają Kopernika,
co tu właśnie zmysłem każdym
tajemnice ich przenikał.

Tutaj badał ich obroty
patrząc w nieskończone niebo
i napisał księgę o tym,
i się żadnych przeszkód nie bał.

Świt już do Fromborka sięga,
nad Zalewem mgła czerwona —
już zamknięta mądra księga,
rozwiał się cień Astronoma.

Włodzimierz Scisłowski

Fot. Interpress

Dawno temu, właśnie w czerwcu

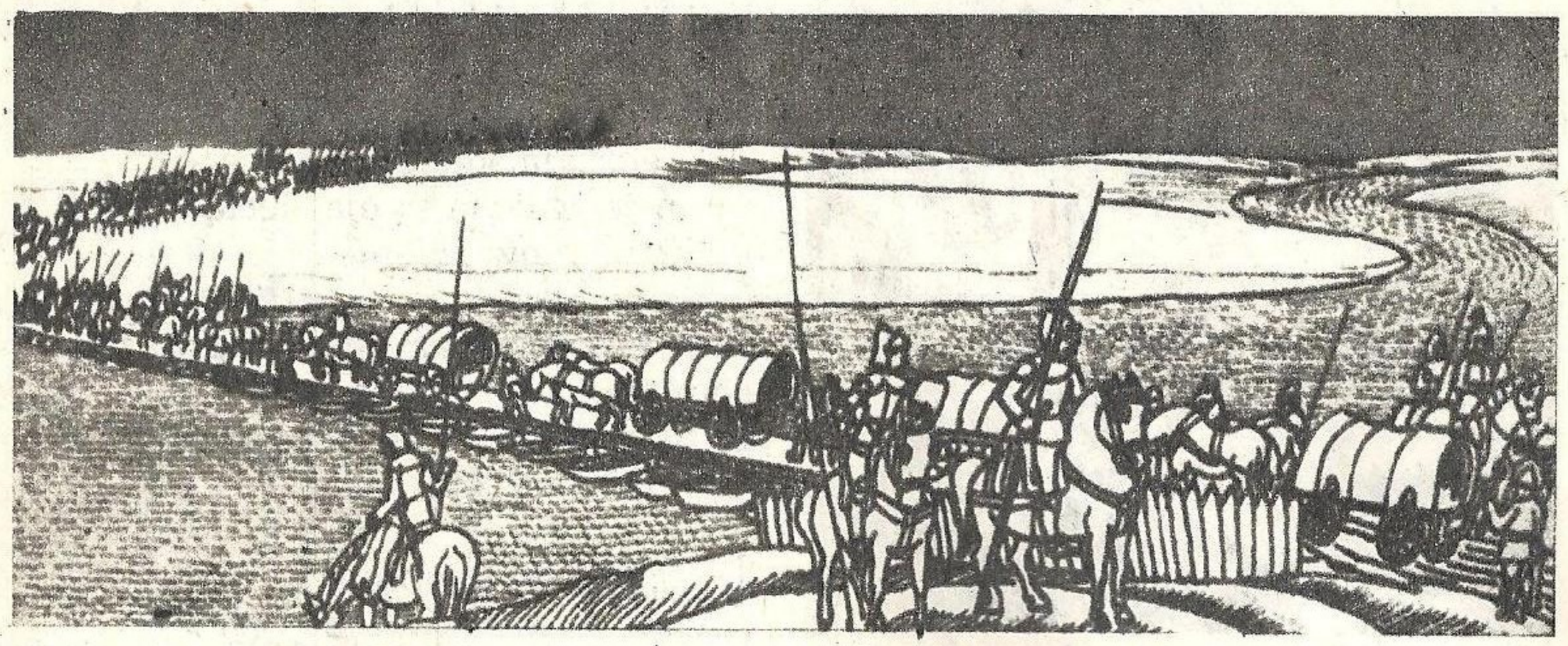

Tak się złożyło, że kilka czerwcowych rocznic dotyczy komunikacji. Każde z odnotowanych tu wydarzeń było nieprzeciętnym osiągnięciem swojej epoki. Przekonajcie się zresztą sami.

Król Władysław Jagiełło szedł z wojskami pod Grunwald. By dojść do celu, musiał jednak przekroczyć Wisłę. Miejsce przeprawy ustalono pod Czerwińskiem. Wisła jest tam rozległa i wpław nie dałoby jej się pokonać.

Budowy mostu podjął się mistrz Jarosław. Wzdłuż przeciągniętego przez rzekę sznura ustawił 84 pary łodzi. Złączył je linami i do nich przymocował drewniane bale, też mocno je krępując. Na nich z kolei ułożono pomost, po którym 30 czerwca 1410 roku przejechał król ze swoją drużyną, a potem... 18 000 jazdy, 4000 piechoty, 30 dział i 8000 wozów z zaopatrzeniem. Przeprawa trwała 3 dni. Wojska poszły na Malbork.

Jeszcze o jednym warto wspomnieć: mistrz Jarosław ze swymi ludźmi zbudował ten most w ciągu 8 godzin.

Pierwszy w historii Polski most pontonowy — bo tak byśmy go chyba dzisiaj nazwali — znacznie skracając czas przemarszu wojsk przysłużył się do zwycięstwa Jagiełły nad Krzyżakami.

Dworzec Warszawsko—Wiedeński

14 czerwca 1845 r. w Warszawie wielka uroczystość — otwarcie pierwszego odcinka Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej. Trasa: Warszawa—Grodzisk Mazowiecki.

„Pierwszy wagon zajęła Orkiestra Wojskowa — pisała ówczesna prasa. — Muzyka przez nią wykonywana była w ciągu całej podróży. Przejechano przez pierwszą stację Pruszków do Grodziska jakby lotem ptaka..."

Budowa kolei trwała przy różnych komplikacjach 10 lat, ale gdy uruchomiono jej pierwszy odcinek, dalsze prace poszły już szybciej. Następny etap budowy doprowadził kolej do Skierniewic, potem do Piotrkowa, Częstochowy i 15 kwietnia 1848 r. do granicy z Austrią.

Była to na owe czasy kolej najbardziej nowoczesna, parowa, a rozważano w trakcie budowy, czy trakcja kolei nie powinna być konna. Na szczęście postępowa myśl techniczna zwyciężyła.

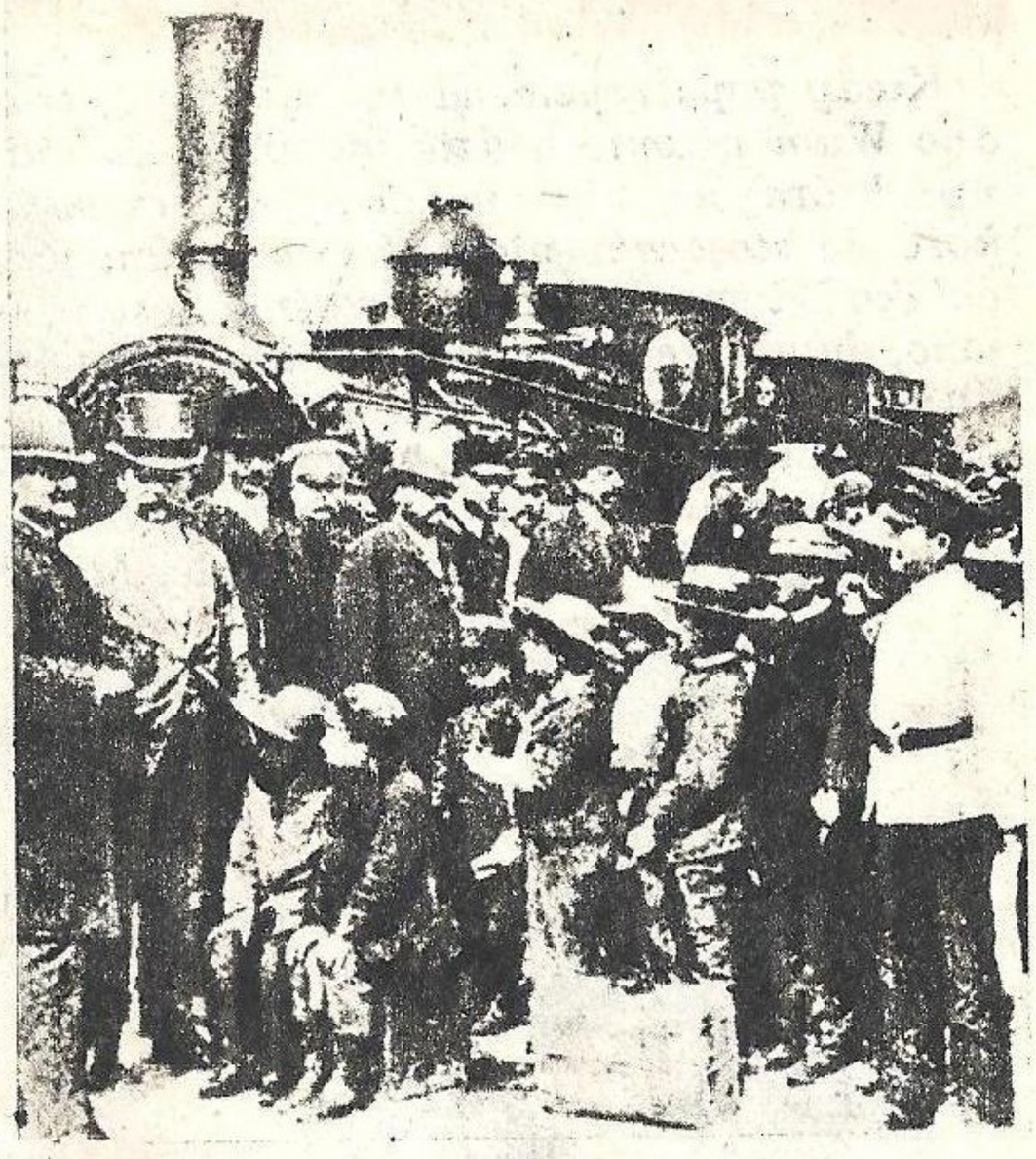

Wyjazd dzieci na kolonie z dworca Warszawsko—Wiedeńskiego

***

Od 16 do 19 czerwca 1963 r. w ciągu 71 godzin przebyła dwa miliony kilometrów... 48 razy okrążając Ziemię. Był to pierwszy lot w Kosmos kobiety, Walentyny Tierieszkowej. Odbyła go na statku „Wostok-6".

Lot przebiegł prawidłowo, zgodnie z planem, a potem Walentyna Tierieszkowa pokonywała kolejne miliony kilometrów, jeżdżąc po całym świecie i spotykając się z ludźmi z wszystkich kontynentów, by opowiadać o swoich wrażeniach.

Tierieszkowa cieszyła się tak ogromną popularnością i sympatią, że układano o niej piosenki w różnych językach. Chlubiły się nią wszystkie kobiety.

Jej lot miał naturalnie ważne znaczenie naukowe. Umożliwił bowiem obserwację organizmu kobiety w warunkach nieważkości poza globem ziemskim.

Elżbieta Burakowska

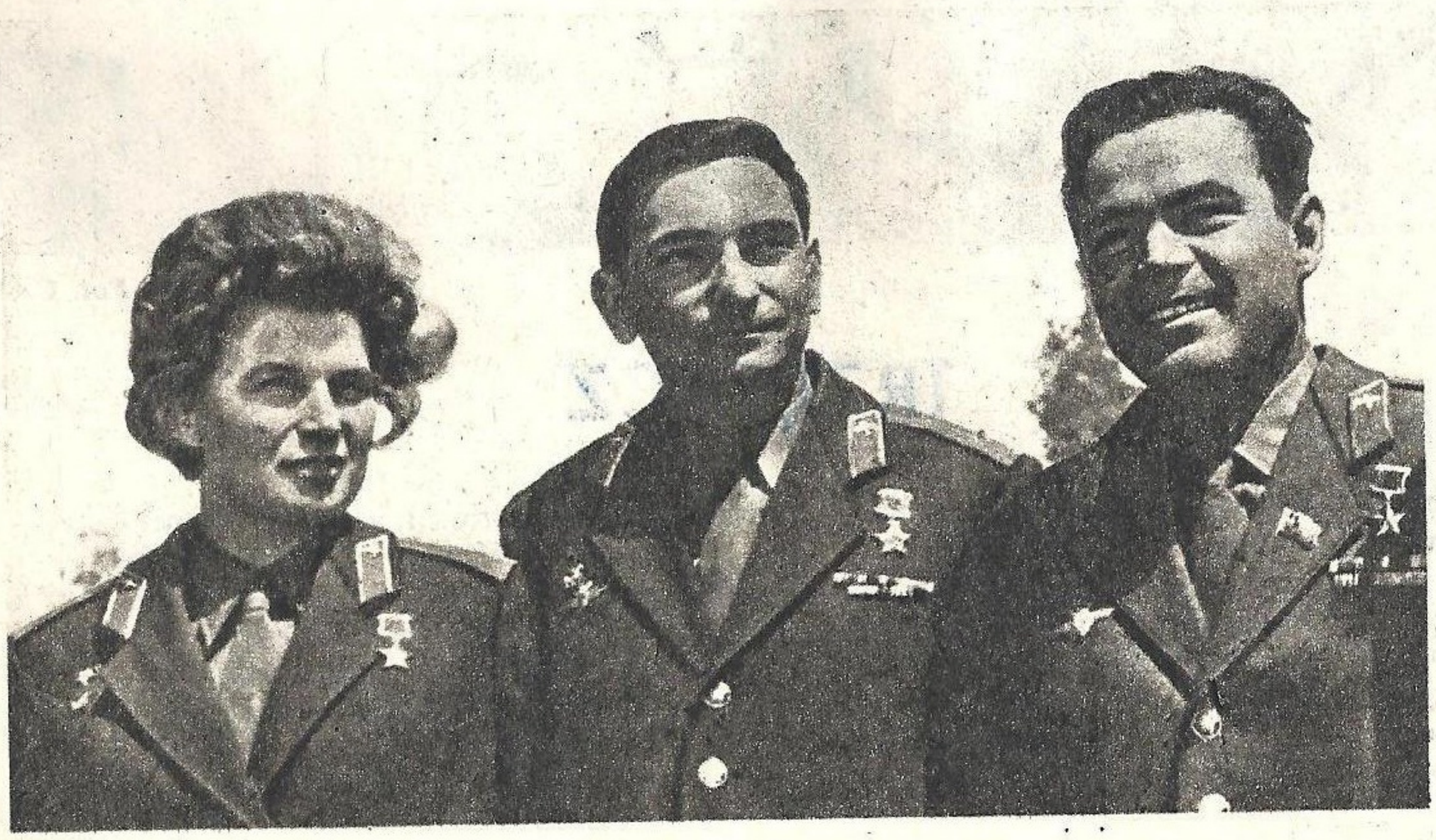

Walentyna Tierieszkowa — pierwsza kosmonautka

RUINY NA SKARPIE

Kiedy popatrzycie na tę fotografię, trudno Wam pewnie będzie uwierzyć, że ruiny, które na niej widzicie, są ruinami kościoła stojącego niegdyś w centrum wsi, daleko od morza. A tak właśnie jest. Dawno, dawno temu, a dokładnie w XV wieku, wybudowano we wsi leżącej na wybrzeżu Bałtyku gotycki kościół. Przez stulecia wysoki i stromy piaszczysty brzeg podmywany był przez morskie fale. Morze powoli „połykało" ląd. Stare domostwa, opuszczone przez mieszkańców niszczały i rozpadały się, razem z brzegiem pochłaniało je morze. Najtrwalszą budowlą na tym terenie okazał się kościół, ten właśnie z fotografii, którego ruiny oglądać można we wsi Trzęsacz w odległości kilometra na zachód od wypoczynkowej miejscowości Rewal, w pobliżu Kołobrzegu na wybrzeżu Bałtyku.

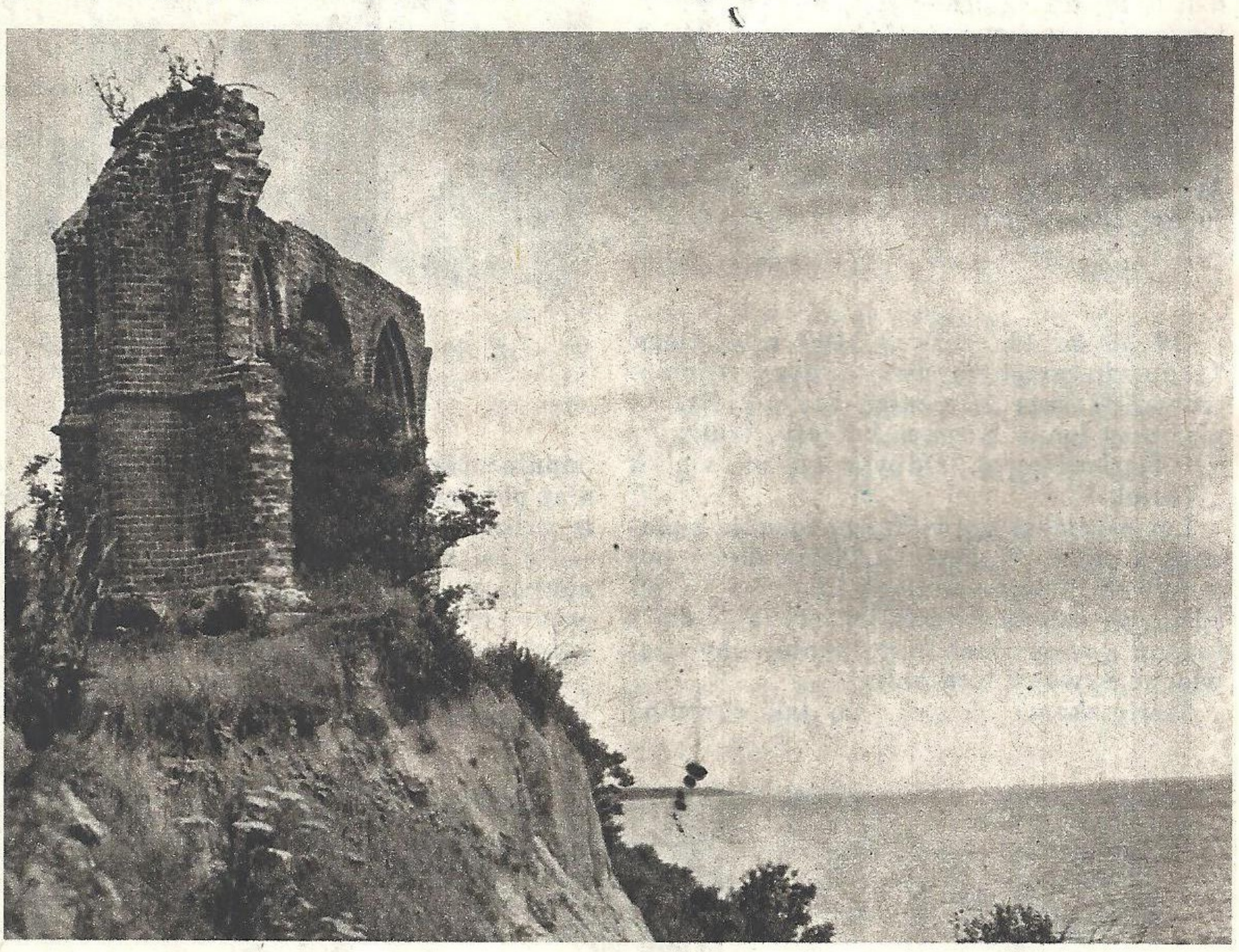

Fot. CAF

TRZĘSACZ

Tu morze co dzień ląd połyka,
grzywaczy trwa gonitwa dzika,
więc osypuje się brzeg stromy —
szczęściem, nie stoją tutaj domy,
tylko kościoła sterczy ściana,
co się nad brzegiem w końcu znalazł,
a kiedyś w głębi lądu stał,
aż uległ nawałnicy fal.

Jeszcze piędź ziemi, a w ich szumie
i ta ostatnia ściana runie...
Ze strachu Trzęsacz więc się trzęsie,
wspomina czasy najdawniejsze,
wspomina lądu dawne kształty,
gdy tak daleko szumiał Bałtyk.

Włodzimierz Scisłowski

Skala

Nazwa tej skali pochodzi od nazwiska francuskiego uczonego Beauforta (czytaj Boforta), który opracował ją w 1806 roku, żeby stawiać wiatrowi stopnie za... sprawowanie. Stopni jest 12. W stosunku do szkolnej, skala jest odwrócona, to znaczy im stopień niższy, tym sprawowanie lepsze, im wyższy — tym gorsze. A oto, jakie stopnie i za co otrzymują wiatry:

1. Powiew: Wiatr lekko tylko odchyla unoszący się pionowo dym.

2. Słaby wiatr: Czujemy wiatr na twarzy; poruszają się liście.

3. Łagodny wiatr: Poruszają się liście i małe gałązki.

4. Umiarkowany wiatr: Poruszają się mniejsze gałęzie; wiatr porywa pył i kartki papieru.

5. Dość silny wiatr: Chwieją się małe drzewa; na jeziorach tworzą się niewielkie fale z grzebieniami.

6. Silny wiatr: Poruszają się duże gałęzie; gwiżdżą druty; trudno utrzymać parasol.

7. Bardzo silny wiatr: Chwieją się całe drzewa; trudno się poruszać.

8. Gwałtowny wiatr: Łamie gałęzie; nie można iść pod wiatr.

9. Wichura: Powoduje uszkodzenia budynków; zrywa deski, dachówki.

10. Silna wichura: Wyrywa drzewa z korzeniami; zrywa dachy.

11. Gwałtowna wichura: Wywołuje duże uszkodzenia budynków.

12. Huragan: Pustoszy nawiedzoną okolicę.

Zero w skali Beauforta oznacza ciszę, przy której dym unosi się pionowo.

BEAUFORT

Rys. J. Flisak

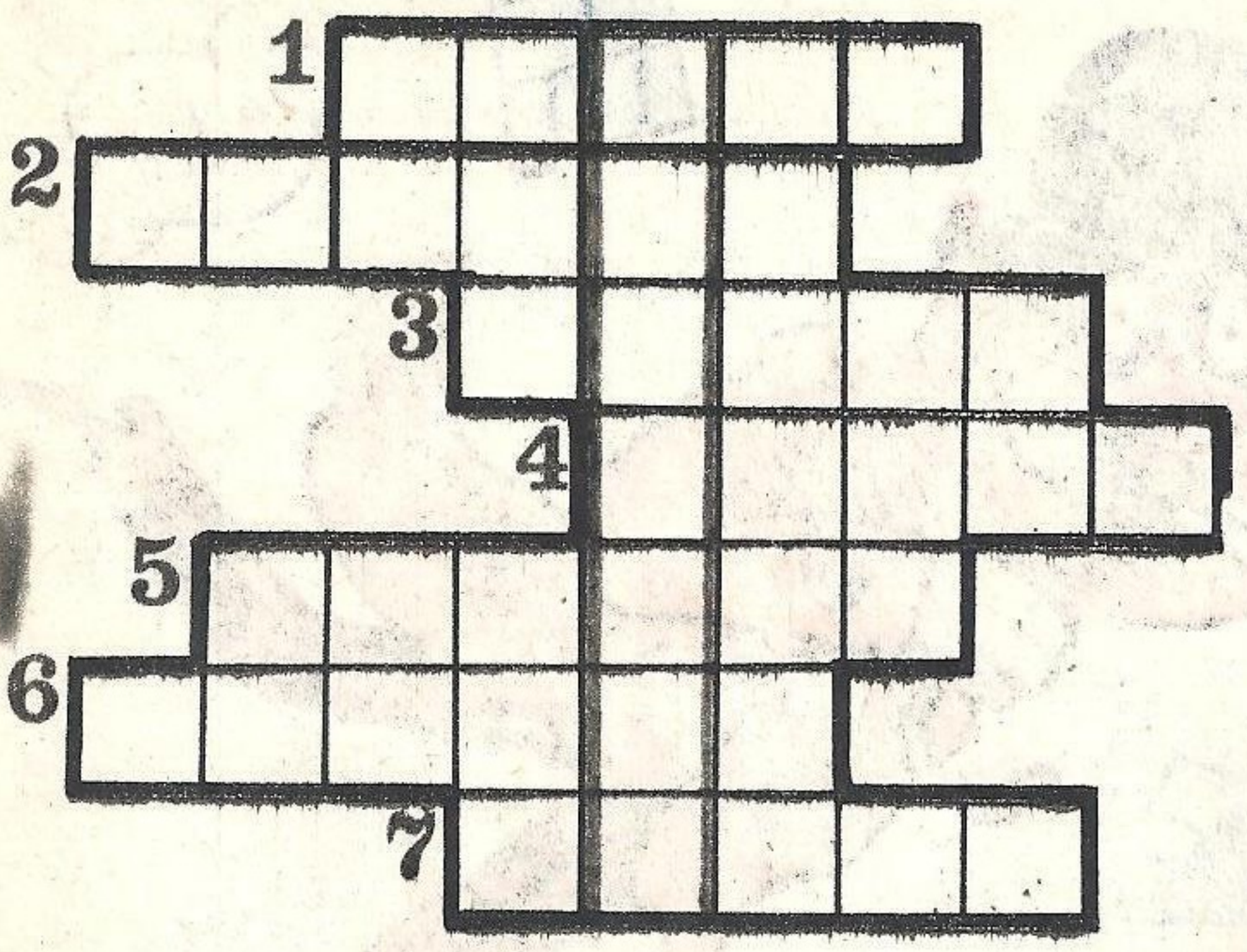

PTASI LOGOGRYF

Zmieniając po jednej literze w podanych wyrazach utwórzcie nazwy siedmiu ptaków, a następnie wpiszcie je poziomo do kratek logogryfu. Litery w pionowym rzędzie utworzą nazwę jeszcze jednego ptaka.

1. SZLAK, 2. CZAPKA, 3. WILLA, 4. BÓJKA, 5. KASZKA, 6. CZARKA, 7. KALKA.

WĄŻ

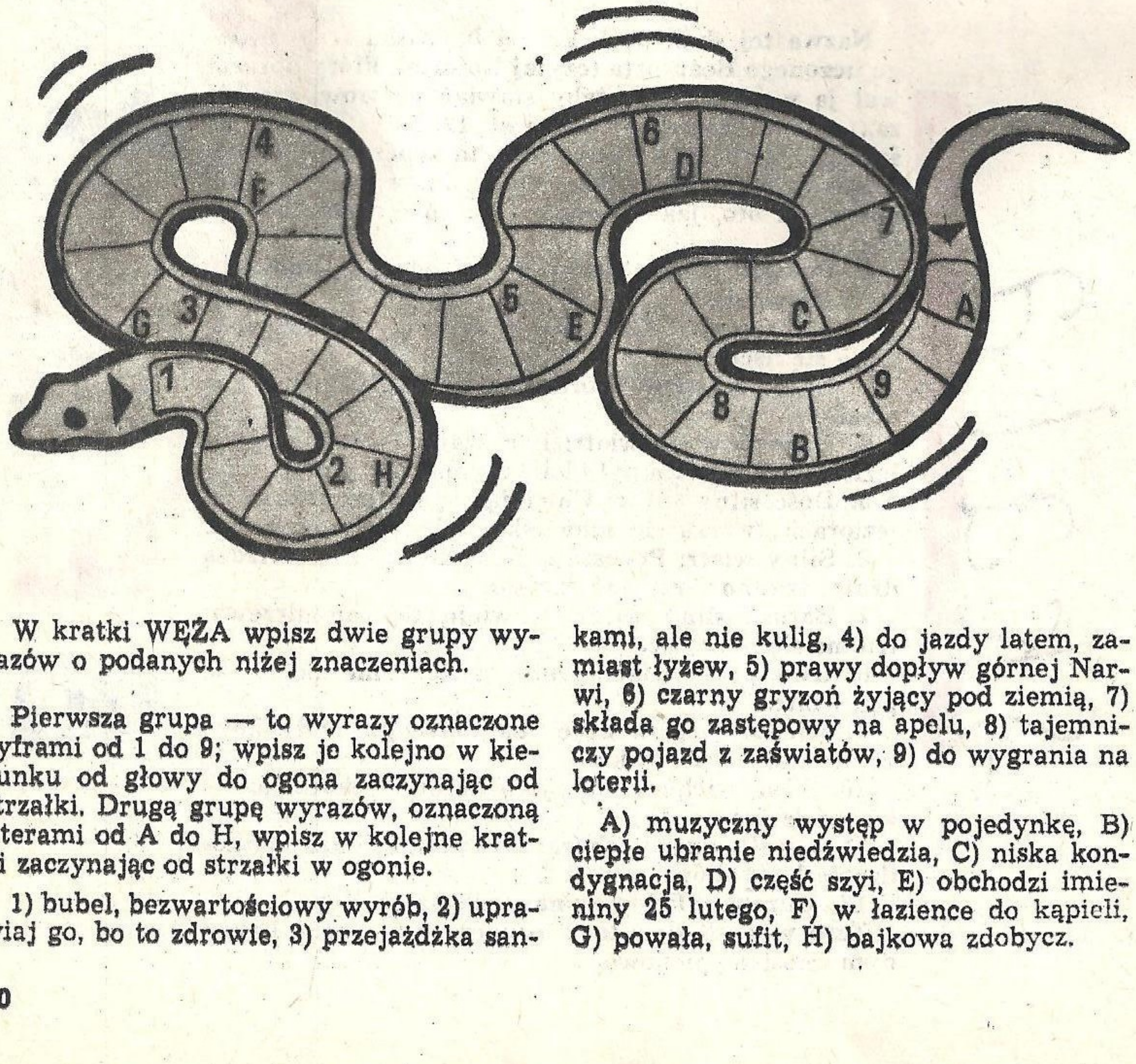

W kratki WĘŻA wpisz dwie grupy wyrazów o podanych niżej znaczeniach.

Pierwsza grupa — to wyrazy oznaczone cyframi od 1 do 9; wpisz je kolejno w kierunku od głowy do ogona zaczynając od strzałki. Drugą grupę wyrazów, oznaczoną literami od A do H, wpisz w kolejne kratki zaczynając od strzałki w ogonie.

1) bubel, bezwartościowy wyrób, 2) uprawiaj go, bo to zdrowie, 3) przejażdżka sankami, ale nie kulig, 4) do jazdy latem, zamiast łyżew, 5) prawy dopływ górnej Narwi, 6) czarny gryzoń żyjący pod ziemią, 7) składa go zastępowy na apelu, 8) tajemniczy pojazd z zaświatów, 9) do wygrania na loterii.

A) muzyczny występ w pojedynkę, B) ciepłe ubranie niedźwiedzia, C) niska kondygnacja, D) część szyi, E) obchodzi imieniny 25 lutego, F) w łazience do kąpieli, G) powała, sufit, H) bajkowa zdobycz.

K	U	A	C	Z	K	A
N	G	Ą	Ę	S	K	A
F	C	O	P	K	W	A
A	Ż	I	A	B	A	A
R	Z	Y	Ł	B	A	Ć
D	S	E	L	Y	F	I	N

ELIMINATKA

Z poziomych rzędów wykreślcie nazwy sześciu zwierząt, które bardzo lubią wodę i umieją dobrze pływać. Pozostałe litery czytane pionowo utworzą rozwiązanie.

R	Y	B	A
K	O	S	Z

WYMIENIANKA

W wyrazie „ryba" wymień kolejno po jednej literze tak, aby za każdym razem powstał nowy wyraz, który należy wpisać do tabelki. Po ostatniej wymianie powinien powstać wyraz „kosz".

ZAGADKA

Mieszkam w chacie,
w Częstochowie,
bywam także
w Andrychowie.
Jestem w chlebie
i w grochówce,
lecz nie szukaj
mnie w stołówce.
W chórze śpiewam —
oczywiście!
Czym ja jestem —
odgadliście?

ANAGRAM

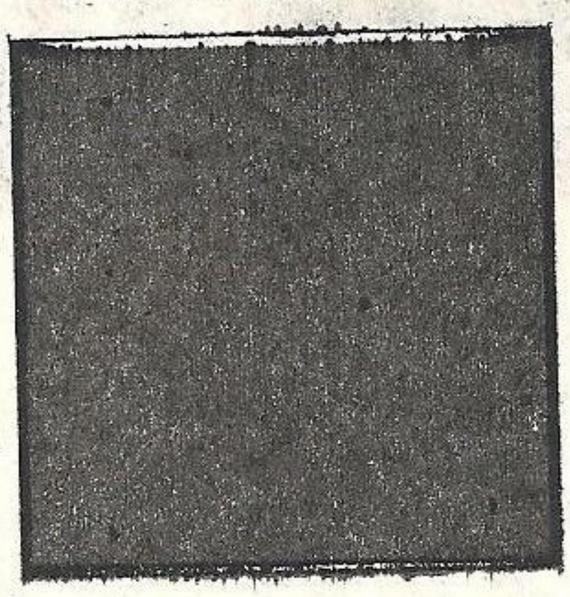

Zapewne bez trudu odgadniecie nazwę tej figury. Ma wszystkie boki równe. Z liter jej nazwy ułóżcie 10 nowych wyrazów.

PŁOMYCZEK

DWUTYGODNIK DLA DZIECI

ADRES REDAKCJI:
ul. Spasowskiego 4,
skr. pocztowa 380
00-950 Warszawa
Tel. 26-27-24

WYDAWCA:
Instytut Wydawniczy
„Nasza Księgarnia"

CENA PRENUMERATY:
kwartalnie — 60 zł,
półrocznie — 120 zł,
rocznie — 240 zł.

WARUNKI PRENUMERATY:
— osoby mieszkające na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch", oraz instytucje z tych miejscowości, opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli;
— osoby zamieszkałe w miastach oraz instytucje i zakłady pracy w miastach, w których są oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch", opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych w miejscu zamieszkania lub siedziby prenumeratora: wpłaty dokonują na rachunek bankowy miejscowego oddziału RSW „Prasa-Książka-Ruch", używając „blankietu wpłaty".

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1153-201045-139-11.

Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy.

TERMIN przyjmowania prenumeraty:
— do dnia 10 listopada br. na I kwartał, I półrocze oraz cały rok 1984;
— do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty w 1984 r.

Drukarnia Wydawnicza, im. W. L. Anczyca, Kraków, ul. Wadowicka 8.

Papier rotac. 70 g, rola 75 cm, kl. V, i rotogr. 125 g, 86 × 122 cm, kl. V.

Nakład 430 370 egz.

Zam. 1105/84 R-22

INDEKS 36875

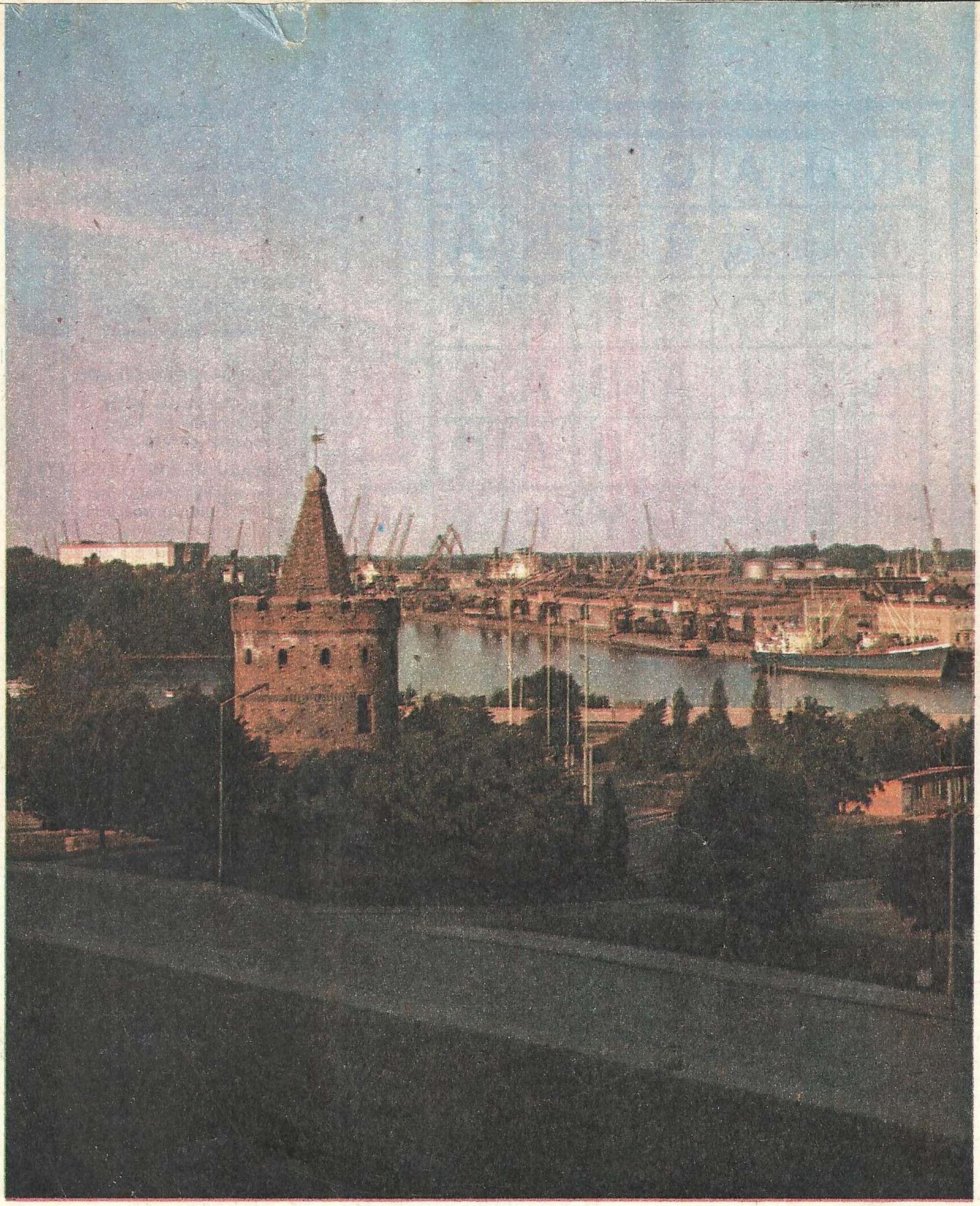

Fot. Interpress

NASZ KRAJ
NASZA
OJCZYZNA

Szczecin jest największym portem handlowym Polski i jednym z największych na Bałtyku. Port zajmuje obszar Międzyodrza, czyli teren położony między Odrą i ujściem Regalicy, odnogi Odry. Odrą można odbyć wycieczkę statkiem, z jego pokładu roztacza się wtedy piękny widok na Wały Chrobrego i Zamek książąt pomorskich, wzniesiony na miejscu dawnego słowiańskiego grodu. Z pokładu widać też Stocznię im. A. Warskiego, największy zakład przemysłowy miasta, jej nabrzeża i pochylnie, na których znajdują się budowane tu statki. Charakterystyczny dla panoramy Szczecina jest wielki, 10-piętrowy elewator magazynujący zboże.

CENA 10 ZŁ